Rok IV. Kraków, dnia 5 i 20 Kwietnia 1885 r. Nr. 7. i 8.

# PRZEGLĄD
## LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

**PRENUMERATA.**
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

*Główny redaktor* K. Bartoszewicz.
*Wydawca i redaktor odpowiedzialny* Jan Blaschke.
*Adres Redakcji i administracji:*
K. Bartoszewicz w Krakowie
*ul. Sławkowska, hotel Saski.*

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs., półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
*Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.*

## PIERWSZY RZUT OKA.

Twierdzą powszechnie, że miłość rodzi się dopiero za wejrzeniem drugiem..... Pierwsze spojrzenie dziwi tylko, zachwyca, miesza..... ale nie rodzi jeszcze miłości. Tkwi w tem iskierka prawdy. Drugie wejrzenie rzucone na jakikolwiek przedmiot, nasuwający się zmysłom naszym, jest zawsze prawdziwszem, bliższem poznania, aniżeli wejrzenie pierwsze, co rozstrzelając się na zewnętrznościach, łudzi prawdziwe rzeczy pojęcie. Pierwsze wejrzenie wyprzedza myśl wszelką, wyściga sąd wszelki — bierze pozór za rzeczywistość. Równie prędko wprawia w zachwyt niezwykły, jak i zradza uczucie odrazy lub pogardy, a jedno i drugie bez głębszego uzasadnienia.

Spojrzeć i pojąć, to funkcye niejednoczesne, a ta niejednoczesność to tylko znamię dwoistości istoty człowieka. Między wejrzeniem a poznaniem ściele się cały świat mar ułudnych i widziadeł mglistych, rozpraszających się dla jednego prędzej, dla drugiego później, a dla trzeciego — nigdy. Im bardziej ktoś w rozwoju ducha postąpił, tem prędzej dojdzie ze spojrzenia do poznania, a nawet może umysł dosięgnąć tego stopnia doskonałości, iż widzieć i wiedzieć staną się jednem, jednoczesnem. To udziałem geniuszów — mistrzów. U tych jest właśnie pierwszy rzut oka jedynie prawdziwym, żywotnym, skutecznym, więc i wszelka abstrakcya i wszelkie mierzenie, ważenie, dociekanie, nie może mieć miejsca w nim. Ten pierwszy rzut oka wyklucza wszelką ułudę, wszystka zewnętrzność staje się dlań tylko osnową, on przenika wszelkie osłony i opony i maski bez trudu, istota rzeczy występuje przed wzrok ducha nagą, a on ogląda ją samą, ją prawdziwą, przeziera ją na wskroś i widzi ze stron takich, z jakich jej dotąd jeszcze nikt nie widział i z jakiej nikt po nim oglądać nie będzie, bo też ten rzut oka płynie promieniem najwewnętrzniejszym z ducha, promieniem twórczym..... Kolumb, Kopernik, Newton jednym rzutem oka głębokim poznali istotę zjawisk, co ich unieśmiertelniły.

Kant przypisuje praktycznemu rozumowi moc poznawania a priori. Co to znaczy?.... To znaczy tyle: Praktyczny rozum posiada moc rozróżniania jednym rzutem oka słuszność od niesłuszności, prawo od bezprawia, obowiązek od skłonności, obyczajność od zmysłowości, a to wszystko odrazu, bez pomocy ociężałej logiki i empirycznych dowodów. Wola staje się czynem, słowo staje się ciałem w sposób bezpośredni.

Żmudne badanie i dociekanie znużą największych myślicieli po jakimś czasie, wytrąci im z myśli wątek przewodni, i zmusi do porzucenia pracy. Nazajutrz za to, lub później jeszcze, to, nad czem ślęczeli czas długi i nic wyślęczeć nie mogli, staje przed nimi w jednej chwili, odrazu, rozwiązane, rozsnute, jasną, przejrzystą, widomą istotą. Wszystko nasuwa się samo, przędza myśli tka się bez przerwy coraz dalej, wątpliwości rozpraszają się dobrowolnie, braki i błędy dawne znikają niby widziadła senne. Ta chwila przejrzenia promiennego ma pokrewną sobie chwilę w natchnieniu wieszczem, w którem również pierwszy, jedyny rzut oka przenika i już poznaje. W duszy pełnej omroczonych uczuć i marzeń zapala się piorunem wejrzenie ducha, rozświeca mrok i rodzi prądy uczuć i prądy myśli w zupełności różne od owych wirów umysłu, które burze zmysłowe obudzają we wnętrzu człowieka.

Wręcz odwrotnym stanem takiej chwili jest trzeźwość umysłu. Ta ogląda rzecz ciągle w tem samem świetle, ciągle w tym samym stopniu przejrzystości i wyrazistości, ale jej stosunek do istoty rzeczy nie jest pierwszorzędnym. Ten brak pierwszorzędności stosunku ducha natchnionego jest udziałem nawet improwizacyi wszelkiej, gdzie duch równocześnie na dwie strony rozstrzelić się musi, na trzeźwy rozsądek i natchnienie ciągle warowane tym rozsądkiem, na twórczość z rodu wstydliwą i trzeźwość z rodu natrętną. Wszelka trzeźwość nie jest ani zimną, ani gorącą, — ona jest letnią, połowiczną, a letnia połowiczość nie rodzi iskier Bożych. Człowieka o trzeźwym rozumie zmusi tylko prawie namacalny dowód do poznania istoty rzeczy. On szuka jej wprawdzie z uwagą wytężoną nad miarę, ale on jej nie znajdzie nigdy na pierwszy rzut oka, gdyż ona mu z przed świętokradzkich oczu w inne krainy uleci, a on będzie, mówiąc z Szekspirem «czekać i wahać się i kryć się z wydaniem sądu...» Co krok — to niedowierzanie, co chwila — to wątpliwość, co dowód — to owo wahanie się i owa nieśmiałość, co niepewnego życia duszy tak jawnem są znamieniem, czyli w wyniku: nic, krom powolnej zbieraniny pojęć, krom złatanej mądrości — mętnej, jak trudy i troski przy jej zdobywaniu.

«Wszelki początek jest trudnym» i «Mądry Polak po szkodzie» — oto dwa dowody z wielu innych, iż pierwszy rzut oka, pierwsza chwila nie sprzyja ludziom zazwyczaj. Ten pierwszy rzut oka wyłania się w ogólności z ducha dwojakim sposobem, znanym pod mianami optymizmu i pessymizmu. Pierwszy już w pierwszej chwili brzemiennieje trofeami zwycięztw, drugi chwyta odrazu na barki cały ciężar rozlicznych negacyj. U pierwszego uśmiecha się wyobraźnia przeczuciem najświetniejszych zdobyczy, u drugiego zimna rozwaga mrozi bez miłosierdzia każdy najskromniejszy pierwiosnek nadziei. Z jednej strony rozrzutność, z drugiej sknerstwo. Optymista w pierwszej chwili potęguje świa-

domość swego talentu do przekonania, iż jest geniuszem, pessymista, wezwany do czynu wewnętrznym głosem, uraja sobie, iż przyszedł na świat niepowołany. Optymista wierzy w pierwszej chwili w dobroć ludzi, w szczęście losu, w pomyślność stosunków, w pomoc Bożą, chociaż już wkrótce potem staje się cośkolwiek skromniejszym, pessymista skupia właśnie w tej pierwszej chwili wszystkie przesądy, pytania, wątpliwości, pogardą i bezbożnością brzemienne myśli i sprzęga je w potęgę zmierzoną przeciw sobie samemu. Ta dwoistość postaci, w jakiej geniusz pierwszej chwili zradza się w ludziach, jest właśnie dowodem najjawniejszym, iż widzieć a wiedzieć to nie jedno — między jednem a drugiem rozpadlina siejąca skutki złowrogie.

Wszystko na świecie staje się niewyczerpanem wtedy, gdy się je bada do samej głębi — tylko roskosz jako roskosz, każda jest skończoną. Filozof mówi: Dla mnie jest poznanie roskoszą — empiryk zaś: Gdy używam roskoszy, nie chcę nic myśleć przy tem. Ale skądżeż to pochodzi, iż empiryk ciągle nowości szuka, ciągle świeżych wrażeń łaknie, ciągle żądny jest czegoś?.... Właśnie ztąd, iż ta nowość darzy go ciągle właściwym urokiem pierwszej chwili, pierwszego wrażenia, ktore ciało i duszę zarówno zachwytem poją. Ale w ciągłej roskoszy gubi się wreszcie tęsknota duszy, wrażenie staje się w końcu czysto zmysłową podnietą, uczucie staje się coraz płytszem, następuje nasycenie się i — przesyt. U człowieka atoli, u którego poznanie i roskosz w jedno się zlewają, staje się wszystko niezgłębionem i niewyczerpanem dla badawczego ducha i dla zmysłów pełni.

Roskosz jest zesłanką nieba. Bóg przystroił nią smętną palmę żywota niby kwiatami wonnymi. Trudy i skwary dzienne kończą się poezyą wieszcza, złotą ułudą murzeń i widzeń sennych, co zcicha wioną w duszy pieśnią pociechy. Ta roskosz nie jest znikomą, jak źródło z której ona płynie, ale ona musi znaleźć drogę do przybytku duszy człowieka, odbić się echem zrozumiałem i wydźwięczyć napowrót wtórem harmonii, brzemienna cząstką nieskończoności. Wówczas kochający nie przesyci się przedmiotem swojej miłości, bo ta miłość stanie się dla duszy jego nieodzowną. Wszystko, co z tą miłością stoi w jakimkolwiek związku, odziewa się światłem i barwą duszy jego, więc i świat ożywia się w około i w codziennych zjawiskach będzie czytał i rozumiał głębię istoty wszystkiego. Wówczas krajobraz, choćby wielu innym podobny, nie znudzi patrzącego nań, bo ten patrzący, nosząc w duszy swojej miłość przyrody, odczuje roskosz tam, gdzie mu ją jego poznanie piękności przyniesie. Boć krajobraz każdy, to dzieło przypadku czystego, wytwór sił przyrody wszędzie i zawsze tych samych. Tysiące przejdzie nim wędrowców, a natura będzie milczeć dla nich. Dopiero gdy stanie w nim człowiek z talizmanem w oczach, a poezyą w sercu, wówczas natura pozna pomazańca myśli i przemówi doń, a on pojmie pieśń wspólnymi głosy śpiewaną, zrozumie szepty lasów i gwary sadów i pomruki wód i gawędy ptasie, a one same wyjawią mu swe tajemnice i istotę swą rozewrą i skreślą cierpienia i miłości, i dzieje swoje pełne uroku i dziwów.....

To też sztuka prawdziwa nie łowi żadnych nowości, gdyż roskoszy zmysłów strzeże zawsze pełnia intellektualna. «Pod ręką mistrza i treść mniej nadająca się do piękności odziewa się nadziemskim urokiem» powiada Kremer. I chociaż indywidualna natura czegoś starzeje się z czasem, to ono dla serca roskoszującego odmładza się ciągle tchnieniem wieczności, podpałem iskry Bożej. Więc i w najpóźniejszych latach życia kocha się tak, jak za młodu, więc i jasne chwile ducha rozpromieniają tą samą energią i tą samą potęgą, jak w pierwszych polotach młodości. Wiosna wszędzie, wiosna w wzroku, wiosna w sercu, wiosna w duchu, w czynie każdym, w wrażeniu każdem. Powój kwitnący odziewa omszone wiekiem dęby szatą wesela.....

A świat?.... On głuchy na głos tej psychologicznej prawdy. U niego jest geniusz pierwszej chwili — jedną chwilą tylko. Jesteśmy wzruszeni, jesteśmy grzeczni, jesteśmy dobroczynni, jesteśmy zapaleni — w pierwszej — jednej chwili. Egoista, co zna się na ludziach, liczy i spekuluje właśnie na tę pierwszą chwilę. W jednej chwili zdumiewa, wabi, pociąga, opanowuje, upaja i — wyzyskuje. Powabną powierzchownością zaciera się w pierwszej chwili wszystkie ujemne strony istoty. Ta pierwsza chwila jest nieco powierzchowna, lekkomyślna, łatwowierna, płytka, ale skutkiem braku analizy, krytyki i spekulacyi jest zarazem dziwnie naiwną, bezpośrednią, otwartą, szczerą, serdeczną. Proszę patrzeć na kogoś, co pracując żmudnie tydzień cały bez wytchnienia, wychodzi w piękną niedzielę za miasto. W pierwszej chwili, pod wrażeniem swobodnej przyrody, odradza się, rzeźwieje, krzepi, zapomina o wszelkich troskach, tłoczących się w piersi, — wypogadza swe czoło, zaciąga powietrze głębokim oddechem, pełną piersią..... lecz w oddechu tym ulatuje już zeń zarazem ów geniusz pierwszej chwili, co go sobą tak oczarował, znika, a następne chwile przywodzą znów cały kram codziennych zapatrywań, skłonności i namiętności, i człowiek staje się tem, czem był przedtem.

Przy wejściu do kościoła, przy pierwszym dźwięku organów i poważnie dostrojonych akordach śpiewu, przenika człowieka ów dziwny dreszcz, co tłumi w piersi wszystko zmysłowe, wszystko podrzędne, — ale to tylko dreszcz jednej chwili, w której geniusz jej muska duszę, jak powiew wiatru kielichem kwiatu —i znika, ulatuje w dal... Jakie ostre wyrzuty czynimy sobie przy pierwszym błędzie naszym, jaki kwiat rumieńca wykwita na licach naszych przy pierwszej naganie, pierwszym zarzucie, szczególniej wobec tych, na których poszanowaniu nam tak wiele zależy!!.. Pierwszy błahy błąd w życiu wyciska z oczu więcej łez, niż zbrodnia, choćby najohydniejsza, ale — nie pierwsza z rzędu. Tam żył w piersiach wstydliwy jeniusz pierwszej chwili, — tu zaumarł nerw wiążący wzrok ducha z mocą uczucia. Taki też człowiek może dożyć za łaską Bożą, raz tylko w życiu szczęścia poczucia w sobie geniuszu chwili—w chwili ostatniej, chwili genezy właściwej — z nocy ku światłu wiekuistemu. Ale też skon — to arcydzieło człowieczego ducha...

Wszelka chwiejność, wszelkie niedowierzanie, wiarołomstwo, znużenie, obojętność i nuda są tylko skutkami zubożenia na wrażliwości w pierwszej chwili, w pierwszym rzucie oka. Człowiek nie umie jej w sobie pielęgnować, bo gdyby to umiał, nie uczuwałby nigdy pędu czasu, a wieczna niewinność, wieczna miłość, wieczne natchnienie byłyby jego udziałem. To przytępianie wrażliwości pierwszego rzutu oka dzieje się zazwyczaj nieświadomie, lub bez zdania sobie sprawy z tego, co się popełnia. Kto świadom całej potęgi skutków zachowania tej wrażliwości niepokalaną i wiekuiście młodą i świeżą, ten strzedz jej winien jak skarbu najdroższego. Dzieło to niemozolne, a nieprzebrane jak zdrój pociechy. Józef Kremer tak określa warunki tego dzieła:

«Miej oko i słuch rozwarty, świeży, na ten szeroki, boży świat, na te wszystkie pojawy, co w nim świecąc i grając przemykają się to orszakiem żałobnym, to weselną drużyną—(Dzieje artystycznej fantazyi str. 194) — uchwyć, obejmij siłą zmysłów ostrą wszystkie kształty te, przeniknij je na wskroś, nie przepuść choćby drobnostce pozornej — (Vischer. Esthetik II. 385) — patrz na ten świat wesoło, bystro, rześko, jakeś nań patrzał za chłopięcych lat, gdy ani cętka na skrzydełku motylem, ani świergot niedosłyszany na wysokim dębie, ani mrówka w trawce, ani szczerbka na szabli, ani wonny dech fiołka, nie uszły stouchej, stookiej baczności, wiecznie nastrojonej, ciekawej a czujnej. Przedewszystkiem kochaj tę naturę, kochaj ten świat i ludzi, zrzuć z serca zbroję lodową, roztwórz szeroko na oścież piersi twoje, niechaj ci świat cały i wszystko, czem cię chwila obdarza, zagra

na strunach duszy twojej, niechaj ci nic nie będzie obojętnem, cudzem; bierz wszystko gorąco sobie do serca, a choć cię nie miną rany bolesne, to znów znajdziesz miłość, co je ukoi, uzdrowi. Tchnij całym żarem kochania twego uczucia swoje we wszystkie przedmioty, niechaj ci w nich własne twoje serce zapuka, z nie pożałujesz, bo im więcej dasz, tem więcej od nich odbierzesz: co nieme, to przemówi do ciebie własną mową swoją, co martwe, żyć będzie ciepłem życia twojego, będzie czuło i cieszyło i smuciło się po twojemu. Ty znajdziesz siebie w świecie całym, jako w ulubienicy swej, dusza ci się rozszerzy, jak kaplica pańska, cudów pełna i cały się świat w niej pomieści, zamieszkają w niej wszystkie dziwy jego, ale rozpięknione, ale w świątecznej, uroczystej postaci».

A każdy z nas zdoła być tak bogatym na duchu, tak głębokiego i szerokiego oddechu. «Wynieśmy więc te skarby z pożaru płonących nadziei młodych, jako opiekuńcze bogi domowe, a nie będzie nam się cniło, choćby na pogorzelisku smętnem wszystkich rojeń najdroższych i ułud młodości naszej. Ale biada temu, kto te bogactwa w sobie przemarnował, kto je przepuścił w jałowiźnie chęci i pragnień swoich, żądzą skalanych! Jego serce wysuszone nie zazna już nigdy, czem życie się stroi, czem goją się blizny duszy; lichy syn lichego czasu sam nie wie, jak ubogi, nie wie, że jest opuszczonym sierotą na ziemi. Niechaj zwraca ochoty swoje za fetyszem wieku, lecz niechaj nie zasiada do rady, gdy mowa o godach nieśmiertelnych ducha...»

Tym trybem odradza w sobie ciągle ową potęgę chwili geniusz, wrodzoną sobie mocą, i — idzie dalej jeszcze. On pomija wzniosłym polotem myśli mniej treściwe chwile żywota, dociera do głębi, do granic wszystkiego czasowego, zmysłowego, znikomego, i zdobywa sobie inną chwilę, chwilę, w której wyższa świadomość wyłania się z wszechświadomości codziennej i zdradza potęgę chwili najwyższej, nurza się w jej roskoszach, rozwiązuje zagadki i tajemnice, przeczuwa nieskończoność, a gdy skutkiem ułomności przyrodzonych człowieka ta potęga w nim przygasać poczyna, tym samym tokiem wznawia znowu polot ku najwznioślejszym wyżynom myśli. I to ciągłe bezświadome odnawianie, to dzieło odradzania jest właśnie znamieniem geniuszu. To odradzanie, to zarazem najgłębsze prawidło żywota każdego człowieka, to drogoskaz przekazany nam historyą tysiąców lat. Kto się postarzał, ten nie może odmłodnieć, ale kto zbłądził, ten może wejść na drogę prostym szlakiem przed nim wykreśloną, kto upadł, może się podnieść. Prawda, iż nieraz u kresu tej drogi, przed samą jutrzenką zarania, zjawia się nagle czarna chmura przesytu, ale w tem tkwi właśnie potęga wyższości i wtedy dojrzeć już na pierwszy rzut oka i poznać tę chmurę! I wówczas doznaje się ostatniej boleści, i koi się ją pierwszą nową potężną radością — pierwszem uczuciem wielkiem oswobodzenia, odkupienia siebie..... Wszelkie fałszywe bogi i mary i widziadła, co w poprzednich długich chwilach bytu męczyły i katowały duszę człowieka — znikają i zlatują w otchłanie własną nikczemnością rozwarte, a człowiek poznaje, iż żyć warto już dla tych dwóch chwil tylko.

Spotykamy często dziewięćdziesięcioletnich starców, o których można powiedzieć, iż nie żyli ani sekundy, a widzimy często skromne dziecięta chwili, które jakby dla tej jednej chwili były stworzone, by niezmienną treścią swego znikomego bytu udzielić ludzkości zdroju pokrzepienia na całe stulecia.

W głuchych i martwych epokach dziejów zjawiają się owe dziecięta, pomazańcy chwili, wskazują nowe skarby wiedzy i odświeżają wsze serca odrodzonem poczuciem piękności, nikną, a świat ich dziedzictwem żyje długo, długo.....

**Maryan Dimmel.**

# FRANEK ŻOŁNIERZAK

KARTKA Z ŻYCIA CODZIENNEGO.

Przez

**Ant. Józ. Sęka.**

## I.

## NA FOLWARKU.

Więcej kłopotu i wstydu sprawił swej rodzicielce Franek, na świat się zjawiając, niż pociechy; więcej go też niezadowolenia spotkało, niż macierzyńskiemu sercu właściwych pieszczot.

Już bo przyznać trzeba, że wybrał sobie czas wielce niewłaściwy na swoje urodziny, a kwietniowy poranek, w którym malca, owiniętego w brudne pieluchy, złożono do dziurawej kobiałki, był jednym z najprzykrzejszych w niezbyt wesołem życiu jego matki, kucharki folwarcznej w Dziubinie. Niewłaściwem zaś dlatego było jego pojawienie się w ciasnej komorze, z kuchnią graniczącej, że kucharka zgodzoną była, jako «panna», że zatem, ten jej niezapowiedziany uprzednią umową przychowek źle świadczył o moralności królowej warząchwi i garnka. Szczęściem dla matki i dziecka, miejscowi dziedzice pobłażliwem okiem spoglądali na tę ułomność, właściwą słabym charakterom, a że nasi wieśniacy w pojęciach swoich na moralność nie są bardzo surowi, więc nie czyniono kucharce wielkich wymówek i jedynie młodzi chłopcy od źrebaków i trzody, zajadając «jagłę» z mlekiem, w bok się znacząco trącali, pomrukując:

— Że też to taką babę kto chciał!..

Mieli racyą. Matka Franka była brzydką. Pomimo swoich dwudziestu sześciu lat, była przedwcześnie zwiędniętą i jakby zgnębioną. Głęboko osadzone oczy świeciły się ogniem nienaturalnym, a chuda jej postać, zgarbiona w chodzie, sprawiała wrażenie odstręczające, które bardziej jeszcze potęgowało się, gdy Magdusia, jak ją zwano, śmiać się poczęła; siwe jej oczy, przymrużone zlekka, nieprzyjemnie odbijały się na tle twarzy ogorzałej, ospowatej i ust szerokich, z których wyglądał niepokaźny szereg czarnych, nierównych zębów. Ale ta jej zewnętrzna szpetność nie dawała żadnego pojęcia o jej przymiotach wewnętrznych.

Była to kobieta łagodna, cicha, rzadko mówiąca, a już jeżeli jej się to trafiło, to mówiła głosem przyciszonym, mrużąc przytem oczy i niechętnie odpowiadając na zbyteczne pytania. Co do pracowitości, to trudno by znaleźć bardziej pilnej od Magdy. Nic też dziwnego, że jej smutne położenie wzbudziło w czeladzi Dziubina raczej żal i współczucie, niż pogardę.

Położenie było smutne, w całem słowa znaczeniu.

Nowo narodzone dziecię nie miało ojca, któryby się do niego przyznał. Magda mogłaby pewnie o nim powiedzieć, ale uparcie milczała, więc też Józiek, pełen sprytu chłopak, nie mogąc dociec tajemnicy rodzinnej Magdy i Franka, rzucił myśl nazwania malca «Żołnierzakiem».

— Nikt, tylko pewnikiem jaki żołnierz... — dodał na potwierdzenie swego przypuszczenia.

I Franek, najspokojniejsze dziecko, ochrzczony został epitetem, jeżeli nie wojskowym, to bądź co bądź mającym związek z tą sferą.

Magda, przyszedłszy do zdrowia, wróciła też do swoich pierwotnych zajęć, objęła napowrót zarząd kuchni «dla ludzi», — jak gwoli odmiany z państwem nazywają parobków — po dawnemu skrobała kartofle, przesiewała groch i tę jedynie zmianę w swych zajęciach zaprowadziła, że jedną nogą, zwolna, poruszała niewielką kobiałkę, w której kołysał się z poważną miną Franek «Żołnierzak».

Żeby też dziecko w kołysce mogło przeczuć choć część tego, co je ma kiedyś spotkać!.. pewnie by tak radośnie rącząt ku światu nie wyciągało i uśmiechem nie wyrażało swego zadowolenia. Franek uśmiechał się jak i inne, a matka, ukradkiem na dziecko patrząc, widziała je duże, zdrowe i szczęśliwe a nadewszystko dobre.

Oj, te marzenia macierzyńskie!

Nie sądzę, aby zapatrzony bezmyślnie w czarne belki sufitu. Franek przeczuwał, że obok niego znajduje się istota, która tak gorąco pragnie szczęścia dla malca, która osłania dziurawym kaftanem bose nożyny maleństwa i w kącie, cichaczem, popłakuje nad ciężką dolą swego «pędraka». O swojej biedzie nawet nie myśli Magdusia.

— Co tam, rozumuje, ja tam byle co zjem a prześpię się to i na barłogu, byle ten malec nie głodował.

Dzięki tej pieczołowitości z jednej strony a rezygnacyi matki ku wszelkim prawie indywidualnym potrzebom z drugiej, Franek miał zapewnioną troskliwość prawdziwą, ze wszystkiemi wygodami, na jakie zdobyć się mogła kuchnia folwarczna w Dziubinie.

Ba! żeby to Magdusia była chociaż pomywaczką przy pańskiej kuchni, to zupełnie co innego. Naprzód, miałaby o wiele mniej zajęcia, powtóre izba, w której mieszkała pomywaczka była widną, ciepłą i suchą; po trzecie, wiadomo, że z wielkiego łatwiej coś urwać nieznacznie, niż z mniejszego, w którem brak najdrobniejszej rzeczy dostrzedz by można; niewątpliwie więc pomagając kucharzowi, Magdusia jaki taki kawałek dla dziecka by dostała, lub wzięła bez wielkiego uszczerbku. Ale w kuchni «ludzkiej» ani myśleć o tem: zakrakano by ją, gdyby który z «ludzi» stołujących się u niej spostrzegł, że kąsek smaczniejszy chowała. To też Magda nieraz dobrze się nafrasowała, zkąd wydostać ten lub inny smakołyk. Tylko nie należy sobie wyobrażać tego smakołyka w postaci jakiego ciastka lub słodyczy; nie, to była wprost reszta z obiadu pańskiego, bułka biała, którą Magda w mleku rozgotowywała, albo też kawałek bulionu. Z racyi wzmianki o tym ostatnim, muszę uzupełnić tę wiadomość, a to dla niepodania moich bohaterów w posądzenie, iż produkt zupełnie nieznany kuchni folwarcznej znalazł się w ich posiadaniu. Stało się to za sprawą pewnej dobrej kobiety, która pełniąc we dworze obowiązki klucznicy, litowała się nad losem małego Franka i od czasu do czasu matce jego czyniła darowizny z rozmaitych produktów spiżarni dworskiej.

Franek rósł ciągle, mało się troszcząc, czy i ile kłopotu osobą swoją sprawia: rósł, kształty jego poczęły przybierać formę bardziej oznaczoną, kobiałka okazała się wkrótce za szczupłem pomieszczeniem dla niego i w bardzo niedługim czasie «Żołnierzak» awansował na piechura, będącego wprawdzie zawsze w tylnej straży pułku małych prosiąt przed kuchnią, ale za to z niezwykłą szybkością posuwającego się po podłodze za pośrednictwam rozmaitych części ciała, ku temu przydatnych.

Są to czasy w życiu Franka najświetniejsze prawie. Wszystko co go otaczało, zajmowało się nim szczerze i po większej części życzliwie. I tak, dwa małe psiaki, kwaterujące w kuchni, liczyły się do przyjaciół najszczerszych; byli to nieodstępni prawie towarzysze, oblizujący tłuste ręce małego Franka a często przez niego obdarzeni ciężkim razem sporej warząchwi, którą mu matka do zabawy dawała. Niezmiernie zabawne bywały epizody, gdy Magda, odebrawszy od dziecka warząchew, zanurzyła ją w kaszę, wymięszała w garnku i wskutek płaczu malca, zwracała. Wówczas pomiędzy Frankiem i szczeniętami zaczynał się bój o prawo wylizania łyżki; spór taki kończył się zwykle zgodnie z prawami *walki o byt* i przewagi silniejszego. Zresztą Kruczek i Burek byli jeszcze najlepszymi z otoczenia małoletniego; nawet porównywać ich nie można z takim niegodziwcem, jak duży indyk, który upatrzywszy sobie coś do czerwonego kaftana Franka (przeróbka z matczynej spódnicy) tendencyjnie irytował się na widok malca. Już to przyznać trzeba, że chybiał zupełnie celu, Franka bowiem śmieszył ogromnie gniew «dyka,» jak nazywał swego wroga.

Przechodząc rozmaite łazy wieku, Franek wyrósł powoli z towarzystwa Kruczka i Burka, (którzy doczekali się awansu na brytanów podwórzowych), pozbył się nieprzyjaźni indyka, którego teraz zapędzał na nocleg do kurników i stopniowo szlachetniejąc w swoich przyzwyczajeniach i obyczajach, przyjaźnić się począł ze zwierzętami szlachetniejszego gatunku, jak cielęta, źrebaki, a nawet kozą, biegającą samopas po podwórzu. Był to czas, w którym Franek, ubrany w niezbyt białą koszulę i nie nadto długie spodnie jedną szelką podtrzymywane, począł biegać na pole do chłopca od źrebaków, zaganiał kaczki ze stawu, swego antagonistę indyka z miną zwycięzcy pędząc przed sobą, jakby ze słowami: *vae victis!* Franek był udzielnym księciem (uczciwszy uszy) na dziedzińcu dziubińskim. Rzadko kto zachodził tutaj, najczęstszym gościem była Michałowa, klucznica. Jej przyjście zwiastowało Frankowi jakiś prezent, mile więc witał pojawienie się swojej protektorki, którą zdaleka ujrzawszy, dopędzał i po rękach całował.

— Masz tu kawałek sera, a nie upuść, — mówiła Michałowa, wydobywając z koszyczka sporą kromkę.

— Oho!

— Co takiego? — pytała.

— Nic, powiadam, albo ja głupi.

I zajadał, aż mu się uszy trzęsły, ciężko przytem sapiąc i od czasu do czasu nosem pociągając.

— Co tam, pani Michałowa dobra, ale to nic.... — mawiał.

— Jakto nic? — pytała matka.

— Ale bo oto, matulu, co tam za temi kołkami?

— Tam — za sztachetami?

— Aha.

— To dwór.

— Tam mieszka pan?

— Pan Michał?

— Ale gdzie tam, taki pan, co to wszystko jego i ta izba, i te kury.

— A ja czyj? — pytał ciekawie chłopiec.

— Ty jesteś mój — odpowiadała matka.

— A matka czyja? — pytał dalej.

— Swoja.

— Aha, to źle, bo pani Michałowa, to nie swoja, tylko pana Michała.

— Cicho siedź.

Przez chwilę milczał.

— Matulu?

— Co?

— Ja pójdę do dworu.

— Nie można, siedź w izbie.

— Dlaczego nie można do dworu?

— Bo tam mieszka pan.

— No, to co?

— No, to nie można. Cicho siedź.

Chłopiec zamilkł.

— Czy matulu, pan dobry?

— Dobry.

— To ja pójdę do pana.

— Ej, Franek, siedź, pókim dobra.....

— Matulu!

— Co?

— Ja pójdę na dwór zobaczyć, czy kaczki z wody wróciły.

— Dobrze.

Wybiegł, ale nie kaczkom się przyglądać, tylko dworowi przez sztachety. Nęcił go ten obszerny gmach, o ścianach bielonych, oknach dużych, ciekawiły go schody, na ganek wiodące, klomby z kwiatami a najbardziej panicz, który codziennie wyjeżdżał na bardzo ładnym koniku. Nieraz Franek, siedząc na pniu, porzuconym przed kuchnią, wygrzewał się na słońcu i smacznie zasypiał, marząc o paniczu, o siodle białem, co na koniku karym leżało, o dworze, ogrodzie... Wyobrażał siebie na miejscu panicza, wesoło paradującego po polach, aż zbudzony głosem matki:

— Franek, nieś obiad owczarzowi!

Zrywał się i spieszył pod las, nie przestając wyobrażać sobie zaczarowanej krainy, świata «zasztachetowego.»

---

## II.
## ZA SZTACHETAMI.

Prędzej by się Franek spodziewał, że pani Michałowa zapomni mu przynieść sera, lub że niegodziwy indyk oprze się władzy jego i nie zechce pójść do kurnika, niż, że się dostanie za sztachety. Ale, już to zawsze bywa tak na świecie, że przyjemności, zarówno jak i przykrości, spadając niespodzianie, potęgują przez to swoje znaczenie. W warunkach zwyczajnych, to jest ciągłego pragnienia, pozwolenie udania się do dworu nie zrobiłoby na «Żołnierzaku» takiego wrażenia, jakie na nim wywarło w zdarzeniu następującem: Panicz, wyjeżdżając ze dworu, zapomniał zabrać z sobą szpicrózgi i już był przejeżdżał koło folwarku, kiedy spostrzegł brak jej. Franek ujrzawszy panicza w bramie, wszedł na płot i odchyliwszy kapelusza słomianego, począł się przyglądać swemu marzeniu, na ten raz, ucieleśnionemu. Nagle, panicz zatrzymał się przed chłopcem. Franek począł złazić z płotu.

— Hej, chłopiec, — zawołał jeździec; — jak ci na imię?

— Franek.

— Czy to ty jesteś Żołnierzak?

— Aha!

— No, to idź do dworu i powiedz Józefowi, żeby ci dał szpicrutę, która została na ganku, powiedz, że to dla mnie, tylko spiesz się.

Chłopiec już znikł; kiedy wbiegał za furtkę, przez którą szło się od folwarku do dworku, serce gwałtownie mu zabiło. Oddech zaparł się w piersiach. Franek chwilę się wstrzymał, okiem ogarnął dwór i ogród i pobiegł dalej. Nowe zdziwienie. Na ganku stała panienka. Pewnie penienka, bo tak ładnie ubrana.

— Czego tu chcesz? — zabytała surowo Franka.

— Panicz... kazał przynieść rózgę... — jąkał się Franek.

— Jaką rózgę?

— Na konia. Panicz tam stoi za folwarkiem.

— A tyś co za jeden?

— Franek.

— Żołnierzak?

— A juści.

— Masz rózgę i wracaj prędko.

Otrzymawszy żądany przedmiot, pomknął w stronę folwarku. Kiedy się furtka za nim zamknęła, poczuł się swobodniejszym, jakby u siebie, to też wesoło podskoczył i ku paniczowi podążył. Oddawszy szpicrózgę, stanął z boku, koniowi się przyglądając.

— Ile ty Franek masz lat? — zagadnął panicz.

— Albo ja wiem.

— A któż wie?

— Matula.

— Zawołaj matki.

Chłopiec uwiesił się drzwi, wołając:

— Matko, matko, chodźcie.

W drzwiach ukazała się zgarbiona postać Magdaleny.

— To wasz chłopiec? — pytał panicz, którego Karolem zwano.

— Mój, wielmożny panie.

— Ładny. Ile ma lat?

— Ha, niczego sobie. Skończy na Ś-go Wojciecha, jedenaście.

— Cóż on umie ten wasz Franek.

— Toć proszę pana, chodzi przy drobiu.

— Fujarki umiem robić — rzucił z boku Franek.

— Cicho, nie przeszkadzaj — monitowała matka.

— A więcej nic? — pytał ciekawie Karol.

— Przy koniach toby tam może i zmógł.

— A masz ochotę do koni? — zagadnął Franka.

— Ba!

— Boga-ć co wielmożny panie, ma, ino trudno się dostać.

— No, już się wstawię za nim do pana.

Magdalena schyliła się do kolan Karola.

Po odjeździe panicza, Franek począł reasumować doznane dnia tego wrażenia: Był we dworze, widział dwór, panienkę i nietylko rozmawiał z paniczem, ale dostał obietnicę miejsca przy koniach. Ale co najwięcej łechtało jego miłość własną, to ta okoliczność, iż wszyscy wiedzieli o jego tytule «Żołnierzaka», nawet panienka. Nie przypuszczał nawet tego, że tak jak jemu wzbraniała matka wejścia go ogrodu, w pośród którego stał dwór, tak dziedzic Dziubina nie pozwalał dzieciom swoim odwiedzać folwarku, że zatem oba te światy miały dla siebie równie wiele tajemniczego uroku i że jeżeli Franek ze zdumieniem spoglądał na szklanny ganek, to dla Karola, piętnastoletniego chłopca ciemne wnętrze folwarcznej izby było fantazyjną jaskinią, jeżeli nie piratów, to ludzi, których zwyczaje były mu obce.

* * *

Przy wieczornej herbacie, Karol, pomny swej obietnicy, wniósł za Frankiem prośbę do ojca.

— Cóż to za chłopiec, nie widziałem go.

— Bardzo ładny blondynek — dorzuciła Bronisia, siostra Karola.

— Czy to syn kucharki? — zapytał dziedzic.

— Tak.

— Ależ ona okropnie brzydka, zkądże się w chłopcu uroda wziąła.

I poczęto debatować, czy uroda przechodzi z ojca, czy z matki i czy w takim razie jest rzeczą zwykłą, czy też wyjątkową. Zdania były podzielone. Przerwało rozmowę wejście Franka, którego na rozkaz pana wprowadzono do pokoju. Franek stał po środku, a w niebieskiem, dużem jego oku malowało się zadziwienie. Jasne włosy, lnianego niemal koloru, spadały w nieładzie na koszulę, która odchylona z przodu, ukazywała pierś opaloną. Twarz wyrażała zaciekawienie.

— Tyś Franek? — zapytał go pan na Dziubinie.

— Aha!

— Masz ochotę do koni?

— Boga-ć-co.

— Odpowiadaj, porządnie, masz ochotę, czy nie?

Chłopiec milczał, jakże on miał inaczej odpowiedzieć.

— Może nie masz ochoty? — indagował dziedzic.

— No powiedz, że masz — podszepnęła mu z boku Michałowa.

Chłopiec obejrzał się na nią wzrokiem dziękczynnym, i gniotąc w rękach swój kapelusz, wyszeptał:

— Mam.

— No, to będziesz pomagał forysiowi oporządzać konie wierzchowe.

Franek milczał.

— No, podziękuj panu — podszepnęła znowu Michałowa; Franek zbliżył się nieśmiało i pocałował pana w kolano.

— A pamiętaj — dodał mu pan, żebyś się dobrze sprawował i paniczowi wiernie służył, wyjdziesz na człowieka.

«Żołnierzak», wracając z audyencyi we dworze był tak przekonany o swej wielkości, że nawet nie spojrzał na kozę, stojącą spokojnie przed drzwiami kuchni.

I ten indyk myślał, że Franek, który chodził kiedyś w czerwonym kaftanie, to sobie pierwszy lepszy; widzisz głupi indyku, po tobie i śladu niema, a ofiara twego gniewu opływa w szczęściu i radości..... tak przynajmniej zdawało się Frankowi, kiedy wchodził do izby i matce opowiadał o swojej nowej posadzie.

— A pamiętaj, pilnuj się — strofowała matka.

— No, no — uspokajał Franek.

— Jabym ci ta dała, ty... no, chodź, dostaniesz kartofla pieczonego, a idź do komory, to tam pod pierzyną leży kawałek chleba z masłem.

Franek myślał o koniach i paniczu, o zmianie zabaw i zajęcia, panicz o nowym służącym i zmianie dozorcy przy koniach; pan z panią o zmianie w służbie, jedna tylko Magdalena niezmiennie o swoim myślała Franku i choć uczuć swoich nie ujawniała, jednak drżała na myśl, że mu się co złego stać może.

(Dokończenie nastąpi).

# Jan Zacharjasiewicz *).

## (SYLWETKA).

W pierwszych latach szóstego dziesiątka naszego stulecia przedstawiało życie literackie galicyjskiej stolicy obraz dziwnego zastoju i odrętwienia. Straszna katastrofa 1846 roku była gromem z jasnego nieba, który tych, co nie zabił, ogłuszył, a nadzieję przyszłości zwarzył chwilowo nawet w najgorętszych. Rok 1848 obudził ją na nowo. Społeczeństwo śniło uroczo, lecz krótko; śniło po to, aby się obudzić przy dział huku.

Nastąpiła reakcya tém cięższa, tém bardziej przygniatająca, im większe było poprzednie upojenie. Atmosfera stała się ciężka i duszna. Straszne zawody sprowadziły ową martwotę umysłową, o której wspomnieliśmy na wstępie. Stan jednak taki nie mógł trwać długo; powoli duchowe życie narodu, stłumione gwałtownie zaczęło się domagać swych praw. Ruch literacki począł się budzić zrazu nieśmiało, potem coraz żywiej. Przedewszystkiem objawił się on w publicystyce belletrystycznej. Powstają: *Nowiny*, *Dziennik literacki*, nieco już później *Kółko Rodzinne*. Pośród wskrzesicieli tego ruchu spotykamy obok Dobrzańskiego i innych nazwisko Jana Zacharjasiewicza. Nie jest to jednak pierwszy jego występ na literackiej niwie, bo już poprzednio czasopismo biblioteki Ossolińskich zamieściło jego rozprawę «O architekturze egipskiej,» owoc studyów młodocianego autora nad estetyką i historyą sztuki. Ale nie tu był właściwy zagon jego literackiej pracy; to też wkrótce przerzucił się do powieściopisarstwa, na którem to polu odtąd prawie wyłącznie miał zbierać laury.

Pierwsze próby powieściowe Zacharjasiewicza zaczęły zamieszczać *Nowiny*, wychodzące od r. 1854, których był głównym redaktorem; kiedy zaś od 1-go maja 1856 roku, kolega jego z przemyskiego gimnazyum, Jan Dobrzański, począł wydawać zasłużony *Dziennik literacki*, Zacharjasiewicz wszedł do redakcyi i odtąd nierzadko spotykamy się w tem piśmie z utworami jego pióra. Wszystkie one w tym pierwszym okresie literackiej twórczości Z. należą do zakresu powieści obyczajowej. Zaznaczamy: Uczonego (1855), Boże Dziecię (Dz. Lit. z r. 1857) i Złotą Górę, stanowiącą niejako program tygodnika literackiego «Kółko Rodzinne», który zaczął wychodzić w marcu 1860 pod redakcyą Z., a zarazem illustracyą znanej zasady, że na rodzinie opiera się społeczeństwo, i że upadek pierwszej wywołuje jako prostą i nieuniknioną konsekwencyą upadek drugiego.

W pierwszych tych płodach twórczej działalności Z. widnieją choć złożone dopiero w zarodku, wszystkie jego zalety, które mu miały wyrobić zaszczytne stanowisko w naszej powieściowej literaturze. Są to: znakomity dar obserwacyi, analiza psychiczna i prawda zarówno w inwencyi, jak we wykonaniu. Postaci Zacharjasiewicza, to nie ideały nietykające ziemi stopami, ściągnięte na nią przez autora i przykrojone do ram powieści, to nie wyjątkowe jakieś istoty, ale ludzie z krwi i ciała, o jakich się ocieramy w życiu codziennem, myślący i czujący po ludzku, tylko opromienieni dążnością idealną i posiadający wybitną, typową indywidualność, która stanowi ich racyą bytu w powieści. Czy to realizm? Bez wątpienia i to przedewszystkiem psychologiczny, a więc, wyrażając się po kupiecku, w najlepszym gatunku, jednakże wobec idealnego kierunku wszystkich prac Z. trzeba go chyba nazwać realizmem idealistycznym.

Wspomnieliśmy wyżej o pierwszym okresie twórczości literackiej Z.: rozciąga on się po rok 1860, rok wydania powieści «Na kresach». Utworem tym stanął on na polu powieści polityczno-tendencyjnej, czyli raczej stworzył ten rodzaj, okazując się w nim odrazu niezrównanym mistrzem. Oddawna już zamierzył sobie Z. odzwierciedlać w powieści polityczne i społeczne dążenia swego narodu. Nie trudno dopatrzéć się tego kierunku w poprzednich jego dziełach, w całej jednak pełni występuje on dopiero we wymienionej powieści. Myśl to była bardzo szczęśliwa, a wykonanie odpowiedziało jej zupełnie. Niema odtąd prawie wybitniejszego zwrotu w politycznych i socyalnych stosunkach polskiego społeczeństwa, któregoby Z. nie uchwycił za tło do swej powieści. Wszystkie one posiadają zdrową, szlachetną i czystą jak łza tendencyą, kierunek zaś ich polityczny nadaje im ważną zaletę aktualności, co wszystko razem wzięte stanowi dla autora tytuł nie do literackiej tylko, ale i obywatelskiej zasługi.

Szereg ten otwiera, jakeśmy nadmienili, powieść «Na kresach». Jestto wyborny obraz smutnych stosunków naszych pod berłem pruskiem i tragicznego procesu wywłaszczania polskich posiadaczy. Postaci tej powieści, to same typy, rozliczne, a żywcem uchwycone, czy tu mamy na myśli ową kosmopolityczną arystokratkę, dla której «la passion est la vie», czy jej męża, margrabiego, wydającego zamek wystawiony «ad populum tuendum» w ręce germańskie, czy majora, czy wreszcie którąkolwiek inną, choćby podrzędniejszą osobę powieści. A tyle w tem wszystkiem życiowej prawdy, tyle zbawiennej nauki dla wszystkich klas społecznych Poznańskiego, żeby się chciało książkę tę, łączącą z artyzmem dzieła sztuki zalety broszury politycznej, wetknąć w rękę każdemu Wielkopolaninowi, wołając: Czytajcie i uczcie się! Discite exemplo moniti!

Jedną z wybitnych a oryginalnych właściwości pióra Z. jest głębokie zrozumienie duszy ludzkiej, a szczególniej skrystalizowanie w słowie idealnych jej porywów, które, mówiąc nawiasem, są i będą zawsze jednem z najwyraźniejszych znanion jej nieśmiertelności, oraz poetyczne pojęcie natury. Co do pierwszego, to jakeśmy już powiedzieli, Zacharjasiewicz jest pisarzem

*) Mając zamiar wprowadzić do naszego pisma dział sylwetek literackich i artystycznych rozpoczynamy je dziś krótką charakterystyką pism Jana Zacharjasiewicza, obchodzącego w r. b. 30-letni jubileusz pracy autorskiej. *Przyp. Red.*

par excellence psychologicznym, a w znajomości serca ludzkiego, szczególniej kobiecego, mało ma równych sobie w naszej literaturze. W pięknej swej pracy o «Kobietach Kraszewskiego,» skarży się Z. na brak różnorodności w typach kobiecych w naszem społeczeństwie i trudno się z nim na to nie zgodzić, a z drugiej strony trzeba także przyznać, że istniejące wyzyskał znakomicie, a kilka nawet sam po raz pierwszy przeniósł z życia do powieści. Co do natury zaś, to ta w powieściach Z. nie jest czynnikiem martwym, lecz przeciwnie żyje i współczuje z osobami powieści, jest ich złym lub dobrym doradcą, co wszystko, z małą przymieszką poetycznej fikcyi jest psychologicznie prawdziwie, gdyż faktem jest, że na otoczenie nasze patrzymy przez pryzmat naszych uczuć i widzimy je w ich barwach.

Na osobne wyszczególnienie zasługuje mistrzowski dyalog Zacharjasiewicza: ożywiony, dowcipny, delikatnie cieniowany, subtelny. Język Z., później wyborny, grzeszy w pierwszych jego powieściach niegramatycznością i rażącemi prowincyonalizmami.

Zacharjasiewicz jest pisarzem płodnym, to też gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie jego powieści, urosłaby z tego spora litania. Wymieniamy tylko niektóre, jak: Święty Jur (1862), W Przededniu (1863), Maryan Kordysz (1865), Marek Poraj (1867), powieść na tle historycznem z końca XVIII. wieku o postaciach tak potężnych, że mało podobnych posiadamy w naszej literaturze. Czerwona czapka (1869), Zakryte karty (1875), Wybór posła (Kłosy, 1877) Królewskie krzesło (1879). Za tło dla przeważnej części tych powieści służą stosunki galicyjskie, zwłaszcza od nastania w Austryi ery konstytucyjnej. Próbował też z powodzeniem sił swoich w komedyi (Kupno i sprzedaż, Kłosy, 1875), w ostatnich zaś czasach poświęcił swe pióro nowelli i zdobył sobie na tem polu jedno z wybitnych miejsc. Nowelle Zacharjasiewicza wychodzą zwykle w feljetonach pism codziennych i posiadają często, prócz zwykłych zalet jego pióra sporą przymieszkę naturalnego humoru [1]).

Na tem wypadnie nam zakończyć ten pobieżny szkic literackiej działalności wielce dla nas sympatycznego pisarza, któremu przyznać trzeba w literaturze naszej wysokie stanowisko. Dla uzupełnienia dodajemy kilka szczegółów biograficznych, których miejsce byłoby może właściwiej na początku: Zacharjasiewicz urodził się w r. 1825 w miasteczku Radymnie we wschodniej Galicyi. Do gimnazyum uczęszczał w Przemyślu, kolegując z Dobrzańskim i Kaczkowskim. W r. 1847 przybył do Lwowa i pracował w redakcyach kilku czasopism; po dwakroć jednak zamienił bióro redakcyjne na więzenie w Szpilbergu. Do roku 1863 mieszkał stale we Lwowie, potem wyjechał za granicę, osiadł za powrotem na jakiś czas we Warszawie, a wreszcie powrócił do Galicyi, gdzie też obecnie stale, z małemi przerwami, przebywa.

*Tadeusz Ujejski.*

---

# NIEZNANY POEMAT FILOZOFICZNY

**Juljusza Słowackiego**

pod tytułem:

# TEOGONIA.*)

*Przedstawił*

**J. H. Rychter.**

Wiadomo nam czem był dla Słowackiego rok 1843. Stanowił on niejako nową, chociaż nie złotą erę jego twórczości.

Od tego bowiem czasu, utwory które napisał, prawie wszystkie noszą piętno filozofii spirytycznej, którą się przejął, a która nie opuściła go aż do śmierci.

Co się złożyło na ten zwrot pojęć autora *Kordyana* i *Anhellego?* co było powodem reakcyi ducha poety? — odpowiedzieć nie trudno. Przedewszystkiem sama natura jego bujnej fantazyi, wreszcie (co do kierunku, w którym ta reakcya nastąpiła) powodem był ogólny prąd czasu, w którym żył i otoczenie w jakiem się obracał.

Emigracya wytworzyła pewne odrębne pojęcia polityczno-społeczne, a nawet filozoficzne. Bochwic, Królikowski, Hoene-Wroński oto główni działacze tych nowych prądów, a właściwie tej, że tak powiem duszności umysłowej, jaka w owym czasie zapanowała.

Propagowany messyanizm, jako wynik teoryi tych filozofów, znalazł wielu wyznawców, a nawet wytworzył widomych apostołów jak n. p. Towiańskiego.

Pominąwszy już Towiańskiego, gdyż ten jak wiemy, niedługo na stanowisku się utrzymał, zwrócić musimy uwagę na sam messyanizm, który najbardziej wraził się w umysły nawet ludzi genialnych i odbił się w ich czynach publicznych.

Przedewszystkiem porwał on swoją mistyczną stroną wrażliwe umysły poetów; to też genjusze, jak: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, snuli nić swego natchnienia, przyjmując po większej części pewne zasady objęte teoryą messyanizmu.

Czy się temu mamy dziwić? Nie! Messyanizm w zasadzie uważano jako drogoskaz wiodący do zbawienia ludzkości!

Naród polski był jednym z najbardziej łaknących ......., czyż więc u ludzi przewodniczących mu myślą i duchem mógł się nie odbić najsilniej!?.. Zależało tylko od intelektualnej siły danego czynnika, by nie popaść w krańcowość.

Jakoż u mistrzów naszej poezyi nie widzimy tego, zaś mistycyzm (messyaniczny), który dopatrujemy w ich utworach, nie czyni im wielkiej ujmy, albowiem on właśnie u poetów owej epoki, o ile stał się nimbem pewnego poetycznego rozumowania, jest uroczą stroną danego utworu.

Zresztą w utartem znaczeniu tego słowa, mistycyzm, a raczej mistyczność (kojarząca wyobraźnię z rozumem), to nieodłączony warunek prawdziwej poezyi, która zawsze powinna sięgać wyżej, po nad sferę zrealizowaną już jakąś rozumową formułką.

U Słowackiego wyjątkowo w ostatniej dobie jego twórczości poetyckiej mistycyzm rozprzestrzenił się bardziej, a nawet w ostatnich utworach stał się zupełnie dla zwykłych śmiertelników niedościgniony.

Poemat, który poniżej przedstawię, nosi właśnie tę cechę i tylko niektóre ustępy znamionują genjalnego poetę.

Wszelkie idee różnych teoryj filozoficznych przebijają z tego poematu. Jest tu cośkolwiek z filozofii narodowej i *świata boskiego*, Trentowskiego—z *Królestwa Bożego na ziemi*, Królikowskiego, z Wrońskiego Parakletyzmu, Bukatego *eliminacyi Polski*, a nawet sporo ze staro indyjskiej filozofii.

Było to jednem słowem, usiłowanie poety, przedstawienia w formie poezyi jakiegoś odrębnego przez siebie wyrobionego systematu filozoficznego [1]).

Czy i o ile mu się to powiodło — to już wyjątkowo w tym wypadku, czytelnik sam sobie osądzić raczy:

Gdyście mi zastąpili słońce pośród drogi
Myślałem, że jesteście jakie greckie bogi,

---

[1]) Ostatni zbiór Nowel Zacharjasiewicza pojawił się w Warsz. r. 1882. Nakład T. Paprockiego. *Przyp. Red.*

*) Rękopis, złożony przez Dra Małeckiego w bibliotece Ossolińskich.

[1]) Jako uzupełnienie rzeczonego poematu, uważać należy: *Genezis z Ducha* i *List do Rębowskiego*. Pisma pośmiertne Jul. Słowackiego. (Wydanie Paprockiego). Lwów 1884.

Tak wam dobrze obojgu wyjść z tęczowej bramy
Na śmione oczy wieszcza!.. Ani mię te plamy
Zastanowiły, które ty biedna dziewczyna,
Jakby jaka brzoskwini albo żurachwina
Masz od mrozu.

W aniołach nie trza budzić sromu. Dlatego nie pytam, mówi poeta, „a na coś na mróz wyszła z domu?“ bo wiem żeś „świecąca owieczka“, żeś niewinna jako kwiat. Czuję, że ciało twoje krępują jedwabie — i ty to czujesz, boś w myśli prosta, boś: „żytnia Bogini!“

Dusza w tobie muzykant niby doskonały,
Jakiejś cudownej pieśni niebiańskiej dogrywa,
A kiedym patrzał w oczy, coś w twojej źrenicy
Błysnęło, niby słońce w oczach gołębicy
Tak, że pomimo świata rozbojów i złości,
Stoisz dotąd jak posąg biały niewinności [1]).

Taka ty — a nie mniejszą pięknością przy tobie
Świeci twój brat, w piekielnej po słońcach żałobie
Głęboki smutnik, — wielki zamyśleniec, dumny,
Który chce po naukę koniecznie do trumny...
Ani wie, że się schodzą dwóch żywotów końce,
A czasem między niemi jest grzmot albo słońce!...

Takich was dwoje mając dorodnych przed sobą,
Pozwólcie, że się trzecią sam wliczę osobą
Między was, a w Chrystusa postawiwszy słowie
Duchy nasze wświęcone, posłucham co powie...

Zaprawdę — nieraz wasze rozwidniłem lice,
Rozwiedniwszy wam którą globu tajemnicę,
Stwór świata, albo rajski dzień, albo ów wieczny,
Cel świata, dzień ostatni, globowy, słoneczny,
Pokazywałem drogi do niego wiodące,
Słońce ojca — i matki naszych ciał — miesiące.
Światłoście w duchach czyniąc ku temu sposobne,
Aby nas w syny boże i Bogu podobne
Przemienić; a z myśli chciałem dostać ruchu,
Ażeby światłem ducha zabić ogień w duchu!..
Nie wiem, czy jaki skutek miały te namowy
I ów świat złoty Ducha, kraj *sokratesowy*
W który wiodłem przed wami idąc w święte cele
Jak skrzypek, który wiejskie prowadzi wesele —
Lecz wczesna ta wesołość i wiejska prostota
Dla was, coście świetnego form blaskami złota
Szychami myśli — rozumu oślepli połyskiem;
Dla was ten mądry — na świat kto patrzy z utyskiem.
Więc i moje wesele — spokój przeszły mimo
Jako około kwiatów powalonych zimą,
Anioł wiosny przechodzi, a wyście zostali,
Pytając: skąd my przyszli? czemuśmy płakali?
Dlaczego bez ojczyzny żywot nasz przeminął
Dlaczego ten nam żyje zły — a tamten zginął
Który był dobry?... Duch was przerażał rozumny
Wszystko wiedzący — anioł po za końcem trumny..
Sami nareszcie wiedzą bogaci, bez pracy
Piękni — pytaliście się — dlaczego my tacy? —

[1]) To *Safos* albo raczej *Sofos*, siostra — duch pokrewny poecie; przy niej stawia ducha drugiego z mianem *Szczęsny*. Siebie również wprowadza poeta w tok rzeczy, jako ducha z natury równego Szczęsnemu — a świadom wiedzy tych obojga duchów, sam do nich i za nich przemawia. (Przyp. autora).

Pozwólcież mi, że niby wielki budowniczy
Wezwę tę trójcę ducha, co w nas teraz krzyczy
O sprawiedliwość Bożą... I każę by święta
Rzuciła się aż w straszne globu fundamenta...
I tam wprzód nim dosięgnie formy ludzkiej szczytów,
Leżała na łożysku stopionych pirytów,
Gdzie płomień, grzmot, lawina leje się i smoła
Aż ją tam który anioł do formy zawoła. —

Lecz nie! Na to by trzeba niewymowne męki
Opowiadać, — więc z rajskiej wywiodę jutrzenki
Trzy święte duchy nasze, formą je odzieję,
I sprobuję ażali całe świata dzieje
Tej prawdy z rozkręconych nie dadzą łańcuchów
Że są przez duchy nasze i dla naszych duchów!...

## I.

Pozwól mi więc Sofosie, że ciebie postawię
Z Szczęsnym — na tej cudownej Edenu murawie,
Nad którą rajskie ptaki, rozwidniały drzewa
Jako pawie Junony. — Ty mi bądź jak Ewa,
On, jak baszta srebrzysta dziś obrosła szlamem
Niech ci zaświeci w oczach — kochankiem *Adamem*!
Oboje wy modlitwą zwierząt uproszeni
Lwów mową — i gadaniem ptaków — i strumieni
Z dziwnym róż językiem — wyszliście z płomieni,
Z oszalałej radością stworzenia ognistej natury;
Nad wami jeszcze ptaki wieńcami i chmury
Rozognione latały, ziemia o was śniła,
A już powoli stygła, hymn i głos traciła —
Lwom się pozamykały paszcze, różom łona,
Duch opadł — jego święta modlitwa spełniona —
Formę nową otrzymał — piękną, doskonałą,
W niej będzie śpiewać cudnie — to co w nim gadało.
Z poszanowania, które wasza forma święta
Niosła — o stopień wam się zniżyły zwierzęta,
A w was serce jak czara, — ale już z tej czary
Nie ogień, który w formie zapalał pożary,
Ale światło się rodzi i leje bez końca —
Tak, że wy — jako z siebie odrodzone słońca
Trwacie w miłości Bożej... — nic z was nie ubędzie,
Wieczni — na rzece czasu błękitnej — łabędzie
Płyńcie w parze! [1])
Wola wasza — gdy zechce — co zechce ożywi...
Ducha którego kocha — udaruje ciałem
W Bogu tworzy, — miłosnym stworzenia zapałem
Rozradowana...
Z takiej to wielkiej potęgi
Spadliście... jak Mojżesza opisują księgi
Słońcem ducha żywione, formy nieśmiertelne
Zepsuwszy ciało wasze, świetne i subtelne,
Wprzód pokarmu użyciem ziemskiego, — a potem
W duchu węża dwóch duchów spłomienione grzmotem;..
Forma wasza zieleni rajskiej nie weseli,
Czarna, aż ją znów myślą o światach wybieli...
O pierwszym wdzięku roi, ale ją zwycięża
Brąz, a czarny zupełnie rodzi się duch węża —
Ów pierwszy duch... który się w prochu podniósł głową
I do ciała się dostał za własną namową —

[1]) W dalszym ciągu jest ubocznie rzucony wykrzyk: „Boże! o jakże szczęśliwi!“

Biadaż wam żeście formy ludzkiej nie ustrzegli
Przed tym duchem zabójcą!...

„Jedna chwila nie w Bogu przebyta, lecz w szale“ a już wstyd wam aniołom przyniosła—„ukryjcie się“. „Chrystus idzie!...“

Ten sam, którego wam zapowiedziano w raju, że przyniesie odkupienie. Jam go widział, bom was oboje wyprzedził cierpieniem. Teraz więc nie dziw się piękna moja *Sofos*, że znam tajemnice twoje i całej natury. Wpatrzony w Chrystusa zolbrzymiałem duchem i dziś jestem w stanie czynić wam cuda [1]).

Zaprawdę i wyście go widzieli
W onych rajskich jutrzenkach Pana, cały w bieli,
Szata jego nad śniegi białe, przeraźliwa,
Twarz słoneczna, świecąca, złota i cierpliwa.
— Jak dziedzic, który własne dziedzictwo odwiedza...
Gdzie przechodził, lwice doń podniosły głowy
Nieme, zatchnięte, swej biednej żaląc się niemowy,
I wół leniwy stąpał i wielbłąd wieżowy —
I różni ptacy wielcy i ptaszkowie mali
Wszystko biegło... wszyscy się k' Panu zlatywali
Po łaskę! A-wy jedni skryci po za drzewa,
Pożarem ognia, który wam napełnił trzewa,
Zatrwożeni, i niby na trupach czerniało...
Staliście; nieszczęśliwi znowu wiekuiście
We włos wasz rozczochrany ubrani i w liście. —
— Rozumiecież wy teraz, jako z grzechu ziarna
Wyszły te rzeczy świata sromne — postać czarna
Którą, ciągła modlitwa o światło, przemieni
W białość alabastrową — osłonę promieni! —
Rozumiecież skąd twórczość wstydząca globowa
W trójcy? [2]) skąd szept miłosny — ta węża namowa?
Skąd rumieniec — ów ogień oskarżyciel winnych,
Skąd praca ciał, i znowu upadek bezczynnych!..
Skąd taki wstyd straconej w ciałach niewinności —
I tak wielka potęga postów — i czystości!....
— Oto początki wasze! — a teraz konieczne
Wstaną wam w duchu cele prześwięte, słoneczne,
Atmosferyczne, niby słońc ogromnych kręgi
W które nas niosą westchnień duchowych potęgi,
W które jednak nie wstąpim pojedyńczo sami
Lecz z globem, słońcem, sami gdy będziem słońcami!!..
Wprzód męczennicy, wieszcze, króle i prorocy,
Potem Chrystusy wielkie, wskrzesitelnej mocy,
Pracą ciał położonych dzielni burzyciele
Globem słonecznym — w święte ostateczne cele
Rozeznać ślady ducha!.. W te ogromne cele
Lecący, między słońca — wyżej błykawicy:
Święto-Jańskiej — ogromni tej ziemi sternicy!
(Niech więc Chrystus w niebie, tchnie moc w nasze
czyny) — Słyszę, że powstała
Wiedza [3]), mająca świecić lampą na dnie ciała,
Przez którą już zbliżona twórczości godzina,
Na świat nam przyprowadza świat Bożego Syna!...

— Bądźcież mi ku pomocy, stańcie się świadomi
Tej wiedzy, co szatana ognistego zgromi,
Świat mu wydrze, a ogniem czynić nie pozwoli
Rzeczy krótkich, na chwilę, z cielesnej niewoli
Wyzwalających, pomóż — ty mąż i kobiéta
Światło niechaj nam zcicha tworzące zawita —
Światło, które ziarenko pod ziemią poruszy
A wnet w onej trumience, spiący anioł duszy
Budzi się i wyciąga ręce do żywota...
Pomóż, w tobie pochodnia świeci — twórcza — złota—
Wszystko zgaś!
I marzone półświatła — wszystko to co dzieci
Globowe bawi porzuć, a niechaj zaświeci
Świętość twórcza — i nam niech ku pomocy stanie!...
Lecz jakże mi uwierzysz? — wiekowe otchłanie
Są pod tobą i bratem, a wy sami sobie
Tajemnicami będąc, na tym ludzi grobie
Stoicie. Jakże teraz dostaniecie wiary:
Że pokolenia przeszłe — nie są próżne mary
Pomimo was przez Boga na ten glob rzucane?..
Chyba w aniołach waszych zmartwychwstanę
Całą przeszłością; ludy wszystkie w was rozbudzę...
Każę wam grzechy nosić i własne i cudze. —
Zaprawdę! Uczynię to, czynów waszych wątki
Przez ostateczne cele i ducha początki
Usprawiedliwię, ciała będę wam budował
I budził, i znów w białe groby kładł i chował
I znowu wyprowadzał. A duchy pokażę
Jako na się wkładając różne piękne twarze
Po globie się szukały, aż z błąkań się onych
Stanie powieść, — harmonij pełna nieskończonych —
Jednością — oświecona wywodną — jak słońcem...
Wy mi więc bądźcie czynów początkiem i końcem,
Budujcie! Niech was forma ukorzona słucha,
A wy budujcie wszystko przez ducha — dla ducha!...

## II.

Po upadku was biorę... oto już wygnani
Jako duchowie — w łonach form wypracowani —
Ty Sofossie może już od Edeńskiej pani
Nauczyłaś się dziką być — białą — ustronną,
W słowiku śpiewać — w różach być świeżą i wonną
I z temi naukami weszłaś oto w ciało,
Gdy on, twój brat... od orłów lotność doskonałą,
A od lwa wziął powagę... a to co ku zdradzie
Duchowi dziś — szał może w słodkim winogradzie
Wypracował!.. Oboje... do formy wschodzicie
Z nauką!.. Raj przeminął nad wami jak śnicie,
Światła się czara w duchu rozpękła... zbryzgana...
Już tylko ziemscy... w łasce Chrystusa i Pana
Zaufani... A pierwszy, któremu dajecie
Ciało — uradowany przez was na tym świecie
Duch był węża... a na to pismo stoi świadkiem...
A wy znów — świętsi waszą boleścią — upadkiem —
Łzami pokuty nieco z grzechu oczyszczeni
Tworzycie drugą formę... a ta się promieni
Jakąś niby białością — bo ów drugi nowy
Do ciała zaproszony był duch barankowy
Abel!.. Więc pierwszy wziął się... jako pełzacz w trawach
Do zboża, drugi trzody na pięknych murawach
Rozsypane... wypasał... choć to was dziwiło
Dotąd — że ów straszliwy potęgą i siłą
Niewinniejszy się zdawał w swej pracy wyborze.
I w ofiarach, gdy kwiaty i bezbrzedne zboże

---

[1]) Ustępy prozą są streszczeniem częstokroć dłuższych a bardziej zawiłych ustępów z poematu.
[2]) „Twórczość wstydząca globowa“ zdaje się wobec potęgi Trójcy dogmatycznej.
[3]) Wiedza, o której tu mowa, to messyanizm, którego Słowacki do pewnych granic był zwolennikiem i jawnym wyznawcą.
(Przyp. autora).

Ofiarował — a drugi rznął małe jagnięta.
Oto wszakże — tłumaczy się dziś wiedza święta
Z tejże tajemnicy — i myśl naszą pasie
I bardzo rozwesela, choć maluczka zda się,
Ale się w rząd ogromnych prawd — cudownie kładzie...
Nie będę mówił jako w tej pierwszej osadzie
Wstała zbrodnia... i strumień rozlał się czerwony,
Jak ów baranka duch był z ciała wypędzony
Za bramy widzialnego żywota wypchnięty,
A potem .. już stał przy was bolesny i święty
I natchnienia dający... wiodące ku temu,
Aby czemprędzej jego duchowi złotemu
Mogła gdzieś być nadzieja... że do ciała wróci —
Bo nie u Kaimitów... gdzie jadem zatruci
Do formy będą lazły za wężami węże —
Weźmie go kto, ukocha — oni na oręże
Pójdą, — oni na pięście, na ognie — trucizny —
Oni potworzą wściekłe na siebie ojczyzny,
Oni rodziny w świętość szatańską ubiorą,
Woń znajdą w perłach — miłość w głęboziemiach
I zbiorą skarby i.... [1]) postawią we wrotach złotych
I skrólą się...
Lecz oto przy was Abel stoi —
Już duch, który o przyszłość globową się boi —
Ostrzga was i w snach się pięknych nieraz jawi
Ku niewinności skłania. Święty — błogosławi
I znika, — a to duchy bez formy dziś czynią,
Tak pracują... miesięczną jakąś monarchinią
Rządzone,..
Wy nareszcie — setka — rodziciele
Bliscy grobu, nauki niesiecie niewiele
W kraj ducha. Niebios wasza myśl nie wyobraża —
Kwiat was więdnący dziwi, a piorun przeraża.
Słońce, gdy schodzi, wasze modlitwy odbiera —
Chmury przed wami; — a gwiazd szafirowa sfera
Niepojęta — myślicie, że spada na głowę
Kiedy zapali swoje gwiazdy brylantowe!...
Wszystko was trwoży winnych, grób nareszcie chłonie,
A duchy idą, mędrce nad inne po zgonie
Być objawicielami! —
Oto przy pochodni
Wiedzy, jest ów poranek i czas piękny wschodzi
Rzeczy zapadłych w ciemność... Teraz-że oboje
Dajcie się wieść, ubierać w rozmaite stroje
Cielesnych form. Niech Sofos w mgłę ubrana wielką
Jak duch jakiej kaskady — prawd objawicielką
Zgodzi się być, — tęczami przerznięta jak pasem
Niech taka leci, dumna, nad globowym czasem
Ku potrzebie, i niby duchowej ochłodzie
Ludów, zjawiona tylko raz w każdym narodzie
Uczuć kapłanka, a ty — idź i w innej stronie
Rozumem, mój słoneczny (jak cię zwę) Helionie!
Pracuj — aż się wydostaniesz prawdą z łona ziemi —
Bo nie sam, lecz zaprawdę, że z braćmi twojemi
Wejdziesz do nieba — kiedy czar globowy minie!..
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Poeta wprowadza następnie *Safos* i *Szczęsnego* w świat indyjski i traktuje ich jako Indjan, w których oboje sam duchowo i cieleśnie przerzucił. Obie te istoty noszą i tu piętno pierworodnego grzechu i dążą do *„Oczyszczenia chrześciańskiego,“* ale bez świadomości. —

[1]) Słowo w rękopisie poematu mniej czytelne.

Do Sofos powiada:
Ty wszystkie swoje „Niewinnostki Ewie“
Mirty w których kryłaś
Swoje grzechy małżeńskie, wszystko to odśniłaś
Znowu w dziecku indyjskiem!....
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Dziś wiesz, że między tobą a chłonącą wodą
Tysiąc form ludzkich, niższych, stoi ku obronie —
Już wiesz, że gdybyś spadła, to w zimniejszem łonie
Ludzkiem, znajdziesz swe piekło w formach różnopiętrznych
Ludzkich, i w onych to form podłościach wewnętrznych
Znajdziesz swe utrapienie. A gdybyś — broń Boże!
Wszystko to przekonała... a w brązowe morze
Potwornych form, z ostatniej ludzkiej miała spadać,
To jeszczeby Duch Boży piorunem zagadać
Mógł... a ducha twojego nad samą otchłanią
Chwycił za włos ludzki — bo tobie nie tanio
Przyszła ta forma!

Błędnym atomem jest każdy człowiek niemający świadomości pierworodnego grzechu, tylko przez bo poznanie jego i obrzydzenie w sobie tej strasznej hańby odwiecznej, dostąpić można *oczyszczenia!*

Idąc za tem, *Sofos* jako Indjanka błąka się nieustannie — przechodząc wszelkie przejawy duchowe całej skali epoki przedchrystusowej, doskonaląc się przez to coraz bardziej.

„Nieśmiertelne są duchy, lecz wiecznie przechodzą
Podług losu!..“

Nad podobnymi duchami czuwa Bóg jako nad swoim narzędziem i wiedzie zwolna do celu.

Pomyśl teraz Heljonie... (tak niekiedy nazywa poeta Szczęsnego).

Czyli w tym wiecznym ducha ludzkiego zakonie
Rodzącym się z boleści — nie będzie poprawą...
Jeźli duch jaki pierwsze tu moralne prawo
Pod strachem grzmotów — ludziom na ołtarz położy?..
— Mnie się zdaje, że nowy ten pracownik boży
Wielką sobie zasługę u Boga pozyska —
Jeźli ów świat zaklęty i widzący z bliska
Genezyjskie trapienie ducha i przetwory
Oślepi, by nie patrzał na owe upiory
Krwawiące się, a raczej oczy wrzucił w siebie —
Jabym sądził, że taki duch będzie na niebie
Miał swą gwiazdę!—Lecz powieść jego na mnie spada.
— Zaprawdę... przez połowę ten co opowiada
Dzieli cześć z tym co czynił. Może się okaże
Nawet w dniu ostatecznym, gdy włożone twarze
Na prochy podgrobowe — przed słońcami staną:
Że pomiędzy śpiewaka sławą i śpiewaną
Jeden jest grób i urna — dwóch niema popiołów!.. —
A przynajmniej to pewna, że wyższych aniołów
Czyn, uderza we wszystkie tego globu struny
I stroi... bo inaczej świata by bieguny
Uderzyły na siebie, gdyby nie tak było.
Gdyby się duchom globu zarazem nie śniło
O każdym wypełnieniu i globowym ruchu...
Dzisiajby przechodziły duchy nowe — w duchu...
Jakieś rewelatory nikomu nie zdatne,
A myśli-by ich były jak myśli zaświatne
Podobne lub do śmiechu, albo też do jęku —
Lecz w nas nie znajdujące żadnego oddźwięku.
Niezrozumiałe. — Dzisiaj duch nie napotyka
Jeno braci. Jest widać jakaś respublika
Ducha!.. pod ciał formami równią trzymająca
Jest! A ta sama nieraz jak wulkan gorąca,

Z pod form ucisku, swoje płomienie wywala,
Wszystko wywraca, łamie, rujnuje — zapala!
I ustaje... i znowu nas o przyszłość trwoży,
I nie odpocznie, aż się forma ciał ułoży
podług hierarchii ducha!..

„Duch o którym mówię
„Właśnie, biedne pielgrzyma włożywszy obuwie"
szedł przez świat — uciśnion wszędzie rozmaitemi formami zarządzeń społecznych (piramidalnych!). — Poeta myślał pod tym pielgrzymem — Mojżesza, albowiem powiada dalej, że to było za czasów Faraona.

Opiszę to wyraźniej, bo stąd wszakże idą
Wszelkie uciemiężenia ludowych wielbłądów,
Ztąd wykwitają ludziom wszystkie formy rządów
Już powkładane na nas nim'eśmy na świecie!
Jeźli pierwszego ducha pojmujecie,
Który wyższy już będąc — w lenistwa godzinie
Za jadło i spokojność, mocniejszemu w czynie
Cielesnym, a słabszemu oddał się na duchu;
Więc się stało, że w rodzin obojga łańcuchu
Podług harmonii, która wiedzie form naturę
Mniejsze duchy, zawsze siły rządów w górę (podnieśli)
A większe się rodziły z ojca niewolnika!
Na taką krzywdę czasu pleśń i psa stajnika
Żołdaka płatna ślepa dłoń, waliła skały!
I są mogiły, które nie poodwalały
Dotąd swoich kamieni —
— Nie błądźmyż o mili..
Bogu to przypisując, cośmy tu stworzyli;
Są nawet tacy:
Co porwani szałem
Niby z jakiejś poważnej opieki nad ciałem,
Świętymi chcą mieć króli, sądząc, że naszemu
Pasieniu się na łąkach żywotu [1]) trzodnemu
Pomogą, gdy duchów moc wtrąciwszy w senną
Śmierć, formom jakąś stałość nadadzą kamienną!..
Ślepi! sądząc, że boscy mądrzy stoją stróże,
Dobrze czynią pasącej się ducha naturze
Dopomagając! — Grzechu podobni obrońcom!
— Ci, czynią sprawę przeciw księżycom i słońcom!! —
W jednym z takich narodów, gdzie tacy mistrzowie
Przez wieki całe — ludom ciężyli na głowie,
Przyszedł ów Duch!.. (Poemat się urywa).

Domyślamy się jednak, że ów duch „trzeci" ma doprowadzić ludzkość przez ewolucyą wszelkich form życiowych—do ostatecznego celu: *Objawienia niewzruszonej prawdy!*

Poeta zetknął się sam z sobą — myśl jego odbiegła granic objętych rozumem, chciała iść dalej, lecz na szczęście samego poety wstrzymała się...

Zacząłem tę pieśń cicho... potem zawierucha,
Grzmot i anioł logiki, porwał mego ducha
I unosił nad globu przechodniemi wały
(Po uspokojeniu się dodaje:)
„Znowu w pieśni tej, duch jestem cały!!!.."

---

Rękopis poematu znajduje się w przechowaniu dyrekcyi biblioteki Ossolińskich i zawiera 24 stronnic in 4-to maj.

Początek zaczyna się od str. 20 i kończy się na stronie 24, potem następują wiersze na str. 6. 7. 10. 21. 1—5. W ten sposób składa się całość.

[1]) Zamiast: *żywotowi.*

Cały poemat pisany jest ręką Szczęsnego Felińskiego, dośmiertnego przyjaciela Słowackiego, a później arcybiskupa warszawskiego, któremu został zapewne przez poetę podyktowany lub dany do przepisania.

Czas powstania utworu przypada mniej więcej na rok 1849, jak to wnosić można z samej treści takowego i okoliczności pobytu w tymże czasie Felińskiego w Paryżu.

---

# ALBUM POLSKIE.

## (XVI. XVII. i XVIII. w.)

**J. I. Kraszewskiego.**

(Ciąg dalszy).

*Dwudziesta piąta karta.*

Herb Koźlarogi. (Jelita) w ozdobach.

Per templum virtutis ad templum honoris.

Stanislaus a Raysko Rayski mpp. Argentorati die 5/15 Septembr. Anno 1623.

Si Deus pro nobis quis contra nos.

Nobillissimo Dno Pastenori amico ac commensati meo morit et memoriae ergo lubens adscribebam Argentorati die 5 Septembris A. 1623 Petrus a Raysko Rayski m. p.

Insia virtuti nulla via.

Amicae recordationis ergo praestantissimo Dno Possesori inscriptam die 5 Septbr. Anno Dni 1623.

Christophorus a Raysko Rayski mpp.

Tych Stanisława, Piotra i Krzysztofa, zapewne z Brzeskiego, genealogij nie zna Niesiecki. Stanisław był sekret. król.

*Dwudziesta szósta karta.*

16. Ao 26.

Tout avec Dieu.

Raphael Comes in Leszno Palatini desBełzensis Scripsit. Basileae mense Sept.

Rafał syn Rafała Wdy Bełzkiego słynnego z dowcipu i oglądy, pięknie piszącego wiersze łacińskie — miał później za sobą Hornostajównę. Zmarł spokojnie na wsi żyjąc, około 1640—1644 roku.

*Dwudziesta siódma karta.*

Fides et amor.

Haec pauca in signum amoris in Nobilissimum Dnum possessorem ppersstis scripsi Basilicae 11 Octobris 1626.

Joannes Casimirus a Krasne Krasiński Palatinides Płocensis et SSmi Hoch. Leop. Camenec. mp.

Jan Kazimierz, dziesiąty syn Stanisława wojewody Płockiego, później podskarbi koronny i san wda płocki. Star. Lityński itd.

*Dwudziesta ósma karta.*

Na prawo pięknie odmalowany herb. Tarcza na czworo podzielona. Orzeł czarny z trąbami, u dołu pogoń litewska i pogoń a orzeł, na hełmie orzeł czarny, w pośrodku Lew i Gryf.

Anno 1631.
W. F. M. L.
Fräulein Elisabeth Eleonora
geboren Hertzogin Radzvilin M. p.
Anno 1631.
Fräulein Sophie Agnes
geborne Hertzogin Radziwillin. mp.

? Elżbieta za Mikołajem Mieleckim,
Zofja za Achacym Czema,
córki zm. 1596 r. Mikołaja na Ołyce i Nieświeżu.

*Dwudziesta dziewiąta karta.*

Quo nos fata trahunt, retrahuntque signamur.
Observantiae et memoriae gra. Venerabili et Doctissimo Viro Dno Martino Rösnero Pastori Ecclae Starogardien. Davidus de Rozyn. Vice Capnus Menen: scribebat 8 Jan. Anno 1632.
Non quos clarifient perpetuo fouit
Nec quos deseruit, perpetuo praemit (?)
Horatius.

*Trzydziesta karta.*

Crescit amor sceleris, quantum decrescit hic Orbis,
Non parient fructus crimina flore nifent.
Reverenda dignitate praestantissimo Domino Martino Rösnero haec inseruit candida mente Matthias Kameński. Dantisci 16 Julij. Anno. 1632.
Vita nostra est peregrinatio.
In gratiam Reverendi atque Doctissimi Dni Possessoris. Dni mei honoranti, scripsit Petrus Mollerus Cam. Lus. et prot. Exul. Chn. Mens Maij 1633.

*Trzydziesta pierwsza karta.*

Dwie stronnice.
Si vitare velis acerba quadam,
Et tristes animi cavere morsus.
Noli te facias nimis sodamem,
Gaudebis nimis et minus dolebis.
Einer der achts
Der andre verachts
Der dritte verlachts
Aber was machts?
Quia cunctis placere nemo potest.
Zu stettswerender Gedachtniss dem
Er hat um Jungen ..... Henrico
Böhm dieser hineingeschrieben
die. 19 Martij st. vet. A. 1633. Danzig
Christoph. Orbas Klanicki.

---

O pater omnipotens vitali miserere unionis,
Quem mors preveniens non sinit esse bovem.
Nie wylęże kruk orła Nie spłodzy wilk woła
Nie wylęże bystrego Ani sowa sokoła.
Herb kolorami: Podkowa w dół ocalami na wskroś strzałą przeszyta (Rudnica?).
U dołu na rozwiniętej karcie.
Die Pfeile des Allmächtigen stralten in mir
Hiob. am 6. v. 4. Psalm 38. v. 2.

*Trzydziesta druga karta.*

16 — 38
Prima Deo Patriae debetur proxima vitae
Portio, amicitiae tertia quarta tibi.
Virtute et armis.
Synb.
Vladislaus
Comes de Lesno.
mp.

Zdaje się to być Władysław, syn Rafała wojewody Bełzkiego, później wda Derpski i Łęczycki według Niesieckiego?

Ciąg dalszy nastąpi.

---

# BIEDNA STARUSZKA.

## WSPOMNIENIE Z CZASÓW MŁODOŚCI

*przez*

**Maurycego Jokaja.**

Dawno już, bardzo dawno temu.

Było to wtedy, gdy po raz pierwszy zaprowadzono mię do szkoły a rodziłem się w roku 1825.

Byłem wówczas tak malutkim chłopcem, iż ledwie spoglądać od ziemi i ciężki psałterz dźwigać mogłem, ująwszy go oboma rękami.

Jednego dnia mój dobry ojciec zaprowadził mnie za rękę do strasznie dużego budynku z grubemi murami, sprawiającemi zawrót głowy kamiennemi schodami i nieskończonemi kurytarzami.

O! jakiemiż olbrzymami wydali mi się starsi studenci! Ileż musieli umieć z tego czego ja nic nie umiałem!

Mój dobry ojciec otworzył jedne z drzwi wiodących na kurytarz i trzymając mię za rękę, wpuścił przed sobą do wnętrza.

Trzysta dzieci w moim wieku siedziało tam na trzydziestu trzech ławkach. Straszliwe państwo, w którem jedynie dzieci mieszkają. Na ścianie wisiała niezwykłych rozmiarów tablica z przerażająco wielkiemi literami. Na tę wskazywał wyniośle spoglądający mężczyzna długą laseczką; a obóz dziecięcy wygłaszał: «a, b, ab, był tu drab, porusz go, on cię łap! Gdy nas zobaczył ów pełen godności duży jegomość przy tablicy, schował laseczkę pod pachę i poszedł ku nam z ukłonem. S. p. ojciec mój powiedział, iż przyprowadza rekruta, z którym atoli wiele trudu mieć nie powinien.

Mężczyzna pogłaskał mnie po gładko ostrzyżonej głowie i spytał jak się nazywam?

Odpowiedziałem: nazywam się «Maurycy».

Roześmiał się. Szczególne imię. Zawstydziłem się ogromnie.

Tamte chłopcy zpewnością będą się dziwić, iż kogoś nazwano Maurycy, zamiast jak przystoi Antoni, Jan, Stefan itp.

Duży mężczyzna, którego chłopcy podnoszący palce do góry «panem rektorem» tytułowali, odprowadził mego dobrego ojca do drzwi, poczem powrócił i umieścił mnie między ubranym w surducik i bosonogim studentem. Bosonogi był pierwszym; gdyż tu rangę stanowiła zasługa. Był bardzo poważny i obyczajny, a tak pilnie usiłował pomiędzy liniami okrągłe litery jednę przy drugiej ułożyć, że aż z wielkiej gorliwości oczy i usta otworzyły się szeroko.

Za to sąsiad w surducie był rozpuszczonym chłopcem. Zaplamiwszy cały zeszyt atramentem zrobił z niego łapkę na muchy, wkładał tam jednę po drugiej, wzywając mię do pomocy, czego za wszystkie skarby świata nie byłbym uczynił. Zaczął też szydzić zemnie; mówił zawsze: «Mau-ryc» czego wstydziłem się nadzwyczaj a nie mogłem oddać mu zniewagi, gdyż nazywał się pojedynczo: Gyuri (mów Djuri).

Potem przyszła kolej na czytanie. Rektor mię także wywołał z ławki, a biorąc między kolana wskazał na elementarz i nader uprzejmie zażądał, żeby mu powiedzieć co tam są za litery? Myślał, że więcej nie umię!

Oho! moi kochani rodzice w domu już nauczyli mię czytać, pochwyciłem przeto elementarz oboma rękami i zacząłem szybko

wygłaszać zawarte tam zdania jedno po drugiem aż do zatrzymania oddechu. Pan Rektor pogłaskał mię po głowie i rzekł, że rzeczywiście idzie już całkiem dobrze.

Płonęło mi oblicze, iż ledwie widziałem litery. Byłem potem nieraz chwalony, lecz nigdy żadna pochwała nie brzmiała w uszach moich tak słodko jak owa pierwszego mego nauczyciela, gdy płynnie z elementarza czytałem.

Ach! a potem w domu jakże byłem przyjmowany! — jak po sławnem zwycięztwie powracający bohater! Ku czci mej ciotka upiekła tort ze śliwkami, służący zaś patrzali z podziwem, gdy siedząc dumnie w morwowej altanie głośno uczyłem się katechizmu i ciekawych umiejętności podróżnego: «Zwierciadła historyi», które u nas kalwinów w Węgrzech od wieków było używane.

Cóż się stało z trzystu trzydziestoma uczniami, którzy ze mną wówczas do pierwszej klasy w Komornie chodzili? Większej części z nich nie widziałem już po wyjściu ze szkół nigdy. A gdy wyrosłem na takiego olbrzyma, jak oni byli wtedy, gdy przeskakiwali po cztery stopnie odrazu ku memu podziwieniu. Było nas zaledwie dwudziestu w wyższej klasie. Podczas tego czasu jednych zabrali szewcy i krawcy, innych znów śmierć skosiła itd.

Z owego całego tuzina jeszcze ten i ów chodzi ze mną do szkoły, do tej wszelako, gdzie najmędrszy mistrz: «życie» z nigdy niewyczerpanej księgi: «doświadczenia» nas poucza. Obecnie kilku i tę szkołę skończwszy, spoczywa cicho w łonie matki ziemi. Ci umieją już wszystko. Dwóch lub trzech żyje szczęśliwie, innym ciężko idzie, a o niektórych nie wiem nic zgoła.

Jednego z rówieśników pamiętam bardzo dobrze, jakkolwiek w niższych klasach jeszcze mnie porzucił. Był to mój pierwszy sąsiad, mały Gyuri.

Był również żywym jak swawolnym. W spinaniu się na drzewo, w łyżwowaniu, w naśladownictwie ptasich głosów i w robieniu piórników nikt mu nie wyrównał.

A jak umiał zręcznie pokonać większych chłopców, którzy pobici z płaczem szli do rektora na skargę! Z jakim apetytem zajadał niedojrzałe brzoskwinie i jak bezlitośnie drażnił psy zbłąkane! Podziwiałem go, lecz w żaden sposób iść jego ślady nie mogłem.

Byłem za bojaźliwy, żeby nie rzec za tchórzliwy do takich rzeczy. Podczas gdy inne roztropniejsze dzieci grały w piłkę i biegały swobodnie, ja w najzaciszniejszym kątku naszego ogrodu budowałem domek z łodyg kukurudzanych, gdzie wsuwałem się z rozkoszą, bowiem wyrzynałem tam różne gatunki broni przeciw wymarzonym nieprzyjaciołom i stawiałem pomniki pogrzebanym w małych dołkach jedwabnikom. Potrzebna do tej ceremonii dzwonnica miniaturowych rozmiarów stała obok, a napisy nagrobkowe, które układałem ślicznie do nich, jakoteż dla poległych bohaterów były w pogotowiu.

Jednego dnia w sobotę po południu, gdy nie było szkoły kolega Gyuri odwiedził mię w owej kukurudzowej fortecy, obok jedwabnikowych pomników.

Lecz zabawa moja nie przypadła mu do gustu.

— Jesteś zupełnie takim jak babcia moja — rzekł, kręcąc nosem, która także bawi się tylko trumnami, podobalibyście się sobie niezawodnie.

— Trumnami? — spytałem zdumiony.

— Tak — odparł Gyuri — ma nawet trzy trumny, w które kładzie się na przemiany ku naszemu przerażeniu. Wyciąga się jak nieżywa i o to tylko jeszcze się troszczy, czy ją wspaniale pochowają.

Ciekawość moja zaostrzona została w najwyższym stopniu, ucieszyłem się więc niemało, gdy Gyuri przy rodzicach zaprosił mię na następne popołudniu do siebie i w istocie o oznaczonej godzinie przyszedł po mnie ze służącym.

Rodzice jego mieszkali w pięknym domu z zieloną bramą, gdzie rozjuszony lew trzymał w zębach pierścień od młotka. Wszystkie okna wychodzące na ulicę były zakratowane, drzwi zamknięte.

Długim korytarzem przez kuchnię weszliśmy do dziecinnego pokoju. Tu Gyuri natychmiast rozpoczął działalność swoją. Rozkazał pokojowej przynieść nam szybko podwieczorek, mianowicie: jabłek, ciastek, chleba z masłem i orzechów. Poczem wyjął zabawki, zapełniające kącik każdy: bębenki szable, puszki, armaty, białe bociany, beczące owce i nieznużenie grające pozytywki, z czego okazywało się jawnie, iż był gagatkiem w domu.

Zaledwie jednak ustawiliśmy pułk ołowianych żołnierzy w szeregu, gdy weszła pokojowa z poleceniem udania się do babuni. Gyuri po prostu oparł się rozkazowi. Czego babka chce od niego? Wszakże go dość często widuje. Dziś jest niedziela, dzień wolny, powinna mu przecie pozwolić pobawić się nieco.

Dziewczyna próbowała ująć go przemocą. Wtedy Gyuri wyjął miecz drewniany z pochwy i tak silne uderzył ją po twarzy, że z płaczem odeszła.

Przeląkłem się okropnie. Wyobraziłem sobie w jednej chwili straszliwy sąd, który się zbierze nad małym złoczyńcą «pochwyci go i powiesi». Wszelako nic podobnego nie nastąpiło.

Owszem niezadługo ukazała się matka Gyuriego z najuprzejmiejszą twarzą a nie rózgą. Miała takie łagodne delikatne rysy, ach! i takie dobre, smutne oczy! Czule prosiła go, żeby poszedł do babki, obiecała mu za to kanarka i całując go rzekła: «Jeżli mię kochasz, będziesz posłusznym». A potem dodała, iż powinien się mię wstydzić, będąc tak upartym.

Słuchałem, stojąc przerażony. Ze mną w domu nie robiono tyle ceregieli.

W końcu obojgu nam dał się uprosić, i delikatna pani zaprowadziła nas przez szereg wspaniałych apartamentów do pokoju babuni.

Była to obszerna, lecz ciemna izba, z kwiecistemi, wyblakłemi firankami u okien, staroświeckiemi szafami, oszklonemi i wysokiemi czarną skórą obitemi krzesłami.

Nad czarną skórzaną sofką wisiały portrety pana i pani z odległej epoki. Pan miał na sobie szamerowany krótki węgierski surdut, pani spiętrzoną fryzurę z wstążką na czole.

W głębi pokoju w dużym, toczącym się na kółkach fotelu siedziała siwa staruszka. I ona także po staroświecku była ubraną w lewendowego koloru suknię z szerokiemi fałdami i w wykrochmalonem czepku. Na czole miała zieloną umbrelkę, która prawie zasłaniała jej całe oblicze. Siedziała, oparłszy wychudzone ręce na poręczy fotelu, a gdy drzwi otworzyliśmy, spytała żałosnym tonem:

— «Kto tu?»

Stara panna, długoletnia jej towarzyszka odpowiedziała:

— Gyuri i Maurycy.

— Tak? — odparła uprzejmie i wyraziła żądanie zobaczenia bliżej nas.

Matka Gyuriego zaprowadziła nas ku niej. Oczy babuni były osłabione, przed wieczorem zaledwie postacie odróżnić mogła, zatem położyła nam obydwie ręce na głowach, macając takowe. Rozróżniła nas wybornie. To był Gyuri, to Maurycy. Ów miał gęste kędziory, moja zaś jasnowłosa głowa była gładko ostrzyżoną. Potem ujęła nas za ręce. Cóż za siłę posiadały jeszcze te suche palc! Gyuri nie mógł się z nich wydostać. Musiał stać cicho i z babunią rozmawiać.

Staruszka w szczególnie dobrym była humorze. Pytała mnie o wszystko, co tylko mogłem wiedzieć. Pytała czem będę —

syn adwokata? Powiedziałem jej, że chciałbym być w Wiedniu agentem. Znalazła to na swojem miejscu. Zachęcała mnie do nauki, mówiła, iż ma bardzo piękną książkę do czytania, a gdy dobrze się poprowadzę, zapisze mi ją w ostatniej woli.

Gyuri zaczął się kręcić niespokojnie.

— Babcia znowu zeszła do testamentu — możebym mógł pójść bawić się nareszcie.

Dobra staruszka rozśmiała się z tej naiwności; nie miała wprawdzie zębów, lecz śmiać się jeszcze mogła doskonale.

Wtem dziewczyna wezwała nas na podwieczorek. Stara panna ujęła poręcz krzesła na kołkach i potoczyła je do jadalnego pokoju, gdzie długi stół filiżankami, bułkami i ciastkami zastawiono.

Zebranie było nader liczne. Ten wszedł z tych, ów z innych drzwi, dość że cały pokój się zapełnił, a wszyscy razem tworzyli rodzinę babuni.

Najstarszy syn jej, poważnie wyglądający mężczyzna z wysokiem czołem i czarnemi oczyma, które mię przerażały, usiadł obok małżonki swojej, łagodnej, uprzejmej matki Gyuriego. Kolega mój posiadał jeszcze starszą siostrę, smukłą, bladą dziewczynę, którą niebawem rodzice mieli umieścić na pensyi, i braciszka u mamki na ręku.

Oprócz tych znajdował się tam młodszy syn babuni, oficer od piechoty; owdowiała synowa z synkiem i rumianą córeczką wyobrażającą sobie, iż skoro podrośnie stanie się także chłopcem. Wreszcie młodszy brat babki pensyonowany kapitan od huzarów z kawałkiem srebra umieszczonego w czaszce; i córka jakiejś siostrzenicy, wówczas już przejrzała panna. Jeszcze jedna krewna jak dowiedziałem się później była w kuchni. Ta wszelako nigdy nie siadała razem z innymi, ponieważ jej nie lubiono. Ale dlaczego. Nie wiedziałem.

Gdy zajęliśmy miejsca przeznaczone, było nas osób czternaście, a pomiędzy tymi dwie tylko obce: towarzyszka babuni i ja. Wszyscy inni należeli do rodziny.

Poczciwa, zacna rodzina! Babka miała cztery razy większą filiżankę niż inni, a tę napełniano jej dwukrotnie kawą. Jadła wszystko i pamiętała o wszystkiem, co na stole być powinno, a gdy jej czego nie dano skarżyła się żałośnie. Podczas tego, pytała często czy dzieci jedzą?

Pensyonowany kapitan i porucznik od piechoty rozmawiali z Gyurim, badając go czem zostać pragnie i na co się zdecyduje? Czy chce być huzarem, czy też piechurem? On odpowiedział, że nie będzie ani huzarem, ni też infanterzystą, lecz jenerałem.

Wysoki młodzieniaszek obsługiwał rumianą siostrzyczkę z czego ta śmiała się tak głośno, że aż wdowa głową potrząsała. Gdy jednak pan z wyniosłem czołem mówić zaczął, milkł każdy. Nie było dozwolono wpadać mu w słowa. Gdy mówił, nawet babka tylko gestem dawała do poznania, że to lub owo jeść pragnie.

Wówczas już zauważałem, że cała rodzina hołduje memu koledze. Wszystko było mu dozwolonem, nikt go nie skarcił; rządził samodzielnie młodymi i starymi.

Działo się to z przyczyny, której oczywiście wtedy nie znałem ani badałem, tej mianowicie: iż matka Gyuriego była bardzo bogatą i on dziś już był uważany jako przyszły pan fortuny olbrzymiej. Krewni zaś jego posiadali tylko mierny majątek znajdujący się w większej części jeszcze w rękach babuni, która pocieszała ich zawsze tem, że temu tę, innemu ową szafę zapisze, gdy umrze. A któż mógł wiedzieć co było w owych czarnych skrzyniach? Prawdopodobnie złoto i srebro, stare biblie z kartkami przetkanemi banknotami, pożółkłe weksle z procentem wzrosłym do kapitału. Wszystko to miało już postanowionych spadkobierców. To dostanie Gyuri, to Malwinka, to Józef, owo Julja. Niekiedy w tym czasie przybył nowy pretendent, bezzwłocznie więc zrobiono mu nowe miejsce w kodycylu. I w ten sposób wszyscy byli opatrzeni przez troskliwą babunię.

Sędziwa mama była w istocie już bardzo starą. Oddawna przygotowała się na ostatnią godzinę. Uszyła sobie śmiertelną bieliznę, suknię, czepek, w którym chciała być pochowaną. Naprzód kazała zrobić trumnę, wypisać na niej wielklemi literami swoje nazwisko i słowa: «zmarła w Panu, w tym i w tym roku życia swego.»

Gdy jednak z biegiem czasu nieoczekiwany dzień urodzin znowu się wyłonił, rozkazywała pokonaną lat liczbę na trumnie zamalować i inną napisać w tem miejscu. A skoro przyszli członkowie rodziny bliżsi i dalsi krewni i znajomi życzyć jej szczęścia w dniu urodzin; gdy małe dzieci recytowały powinszowania a starsze dziewczynki oddawały uroczyście wyhaftowane na ten cel drobnostki, babunia kazała przynieść trumnę i ubrana w granatowo-szkarłatny płaszcz kładła się w wyścielone smutne łoże na oszyty koronkami całun śmiertelny i z białej hafty poduszki, skrzyżowawszy ręce na piersiach i zamknąwszy oczy niby umarła.

Wszyscy członkowie rodziny musieli szeregiem stanąć w około trumny. Po prawej stronie u góry znajdował się mężczyzna z wyniosłem czołem i delikatna pani; dalej Gyuri z starszą siostrzyczką i malec na ręku u mamki; dwaj mniejsi synowie, oficer od piechoty i córka siostrzenicy. Za nimi aż, nigdy niewidziana publicznie kuzynka z kuchni. Po lewej stronie zaś stał pensyonowany kapitan od huzarów, owdowiała synowa z synem i rumianą dziewczynką.

Dobra staruszka pozwoliła mi raz uczestniczyć w takiej uroczystości. Widziałem jak wszyscy zebrawszy się w około, po kolei całowali ją w rękę; a ona, ciągle leżąc w trumnie, mówiła jak wiemy, że to są już ostatnie jej urodziny, i że nigdy więcej z spokojnego posłania nie powstanie, skoro raz jeszcze weń się ułoży i nie będzie już więcej trzeba liczby lat zmieniać na wieku trumny.

Poczem napominała wszystkich pięknemi słowy, żeby po jej śmierci kochali się i wspomagali wzajem. Jeśli by komu z nich nędza zagrażała, inni nie powinni go opuścić; wspierać sieroty między sobą jest ich obowiązkiem, słabsi zaś rady roztropniejszych słuchać winni. W końcu żądała, żeby ją pięknie pochowano i żeby na jej pogrzebie wszyscy byli obecni.

Jeżeli podczas tej mowy tego lub owego żal ścisnął za serce i cicho zaszlochał była z tego bardzo kontenta.

Nikt nie odpowiedział na jej słowa, tylko mężczyzna o wyniosłem czole ośmielił się z zimną krwią zrobić uwagę:

— O! moja mamo! Któż może wiedzieć kto z nas kogo «pięknie pochowa!»

Czem poczciwa staruszka wzruszyła się niezwykle i prawie z goryczą odparła:

— «Jak możesz mówić mi podobne przykrości?!..»

---

Rok jeszcze nie dobiegł do końca, gdy jednego poranku dźwięk dzwonów rozległ się w mieście całem. «Ktoś znakomity umarł» mówiono u nas w domu.

Przy dźwięku tym poszedłem do szkoły; mały Gyuri był nieobecny.

Chłopcy mówili, że on dziś całkiem nie przyjdzie, gdyż ojciec jego umarł.

Ów poważny, wzbudzający lęk i poszanowanie, pan z wyniosłem czołem!

— Cóż powie teraz poczciwa mama?

Po godzinie oznajmił nam profesor, iż po południu nie będzie szkoły, gdyż w świątecznym stroju udać się mamy na pogrzeb pewnego dygnitarza. Był on znakomitym człowiekiem, do-

Ale pozostało jej zawsze jeszcze dwoje wnucząt: Gyuri i siostra jego.

Gyuri wyrósł na pięknego dzielnego młodzieńca, na prawdziwą ozdobę węgierskiej gwardyi. Mówiono, iż piękniejszy od niego żołnierz istnieć nie może.

Za to siostrzyczka mała była kaleką, cierpiała na reumatyzm. Biedactwo wzbudzało litość w najzatwardzialszych, a babka myśląc na nią, szeptała: Czyżby Bóg i tę chciał wziąć do siebie.

Tak się stało. Zakończeniem długiej choroby jest śmierć. Dziecię schło, niknęło z dnia na dzień, tak jak owoc, gdy rośnie z drugim na jednej łodydze; jeden buja, czerwienieje; inny zaś żółknie i odpada. Tak więc i ona w grob wpadła.

Gyuri, który był dotąd ulubieńcem babuni, odziedziczył teraz całą jej miłość, podzieloną pierwej pomiędzy inne dzieci i wnuki — on jedyny! Ach jakże się nim szczyciła! Na samo wymienienie jego nazwiska nie posiadała się z radości.

Najsmutniejsza to historya!

Młodzieniec był śmiały i odważny. Nadeszły straszliwe czasy wojny roku 1848—1849. Zapomniał, iż ma starą babkę, której jest jedyną pociechą. Poszedł tam, skąd się rzadko powraca i pozostał, a niewiadomo gdzie? Niewiadomo czy miał całun, gdy składano go w grobie? Wiedziano tylko, że umarł i że nigdy nie wróci.

Liść, kwiat i owoc opadły już z drzewa. Na nikogo na ziemi nie mogła czekać już matka stara. Wszystkich złożono przed nią w grób ciemny.

Wtedy przypomniała sobie o kuzynce z kuchni, o której dotąd nikt nic nie mówił. Wzięła ją do siebie, gdyż była jedyną z rodziny całej. A chociaż w tym czasie liczyła lat przeszło trzydzieści zaczęto jej nadskakiwać. Zewsząd cisnęli się wzdychający do małżeństwa eleganci, paniczyki, kawalerowie, nazywając ją «łaskawą panią».

Odtrącona dziewczyna zemściła się wszelako na spóźnionych konkurentach i na swej starej kuzynce tem, iż gdy najwięcej ją uwielbiano i najpilniej strzeżono, umarła na cholerę.

Dobra biedna staruszka, przygotowująca sobie naprzód łoże śmiertelne, pozostała sama na świecie. Przeżyła tylu wesołych, młodych krewnych, ktorzy zapewne zamierzają żyć jeszcze lat dziesiątki, stojąc koło trumny, gdzie leżała staruszka z złożonemi na piersiach rękami i zamkniętemi oczyma. Jest już temu więcej niż dwadzieścia pięć lat, a jednak pamiętam to tak dobrze jakby się działo przedwczoraj.

# ECHA.

*W sprawie pomnika dla Mickiewicza. Głos Prawdy. Pierwsze występy panny Maryi Poszpiszilównej.*

Sprawa pomnika Mickiewicza dziwne przechodzi koleje. Jury i Komitet sprawiają nam ciągle niespodzianki, dzięki którym końca sprawy przewidzieć trudno.

Po dwóch konkursach rzeźbiarskich, z których drugi znacznie był lepszym od pierwszego, członkowie Komitetu skłaniali się do ogłoszenia konkursu trzeciego, w czem chwilowo byli w zgodzie z opinją ogółu. Rzecz była prawie jak ułożona, trzeci konkurs obiecywał wydać z siebie projekt godny Mickiewicza, rzeźbiarze pomimo dwukrotnego zawodu cieszyli się, że będą mieli pole do nowej w pomyślniejszych warunkach walki. Dyskussja publiczna w pismach wyświetliła czego ogół pragnie od pomnika Mickiewicza, jaką ideę chce wcielić w kształty bronzu i granitu. Trzeci konkurs nie przyniosłby już szablonu, projekcików ładnych lecz bezmyślnych, każdy rzeźbiarz starałby się o monumentalność i charakter narodowy pomnika. Może bylibyśmy się zawiedli, ale wszelkie dane przemawiały za udaniem się trzeciego konkursu.

Wtem na dzień przed posiedzeniem komitetu przynosi nam «Czas» wiadomość, iż Matejko szczęśliwie dopomógł komitetowi, nadesławszy trzeci projekt genialny, a zwłaszcza «wykonalny,» a jednocześnie N. Reforma wyraźnie oświadcza się za oddaniem całej sprawy w ręce Matejki.

Następnego dnia Komitet miał posiedzenie i zgodnie ze swoją tradycją popełnił szereg niekonsekwencyj.

Naprzód wyrażono uznanie jury, następnie uchwalono, iż żaden z projektów nie może być wykonany. Uznanie dla jury to potwierdzenie jej czynności, przyznanie, iż nagrodzone projekty zasługiwały na odznaczenie, że projekt p. Dykasa dopełnił warunków konkursu i powinien być wykonany — uchwała zas nieprzyjmująca żadnego z premiowanych projektów, to zupełna nagana dla sądu konkursowego za przyznanie nagrod i polecenie odznaczonego pierwszą nagrodą projektu do wykonania.

Po takiem załatwieniu się z konkursem rzeźbiarskim, Komitet przyjął nowy projekt Matejki za podstawę do dalszego działania.

Mimowoli naprzód nasuwa się uwaga dlaczego nie pozwolono rzeźbiarzom po raz *trzeci* konkurować, kiedy przyjęto *trzeci* projekt Matejki? a następnie pytanie czy nie należałoby w takim razie ogłosić konkursu na pomysł, do którego przypuszczonoby wszystkich malarzy? Czyż Brandt, Siemiradzki, a wreszcie inni malarze nie mogliby nadesłać pomysłow rysunkowych, mogących być również przyjętemi «za podstawę do dalszego działania»?

Projekt Matejki był to szkic rysunkowy, szkic w całem znaczeniu tego słowa. Architektury na nim niema uwidocznionej, postacie tylko naszkicowane, dwie zaś: Wilja i Niemen tylko naznaczone, że być mają. Szkic ten przedstawiał jedną stronę frontową pomnika, pomijając trzy pozostałe. Czy projekt w takiej postaci podany może kwalifikować się do przyjęcia? zostawiamy ocenie czytelników.

Przyjmując ten szkic za «podstawę» popełnił komitet jeszcze jedną niekonsekwencją, bo przyjął projekt z siedzącą figurą Mickiewiczu, wbrew swojej dawnej uchwale i warunkom konkursu wymagającym stojącej postaci Mickiewicza.

Ale mniejsza o komitet: chciał on przynajmniej być konsekwentnym w niekonsekwencji — a zresztą czuł, iż imieniem Matejki sprawi efekt pożądany.

Kiedy rozeszła się wieść o decyzji komitetu pospieszyli zaraz niektórzy dziennikarze z gorącemi pochwałami dla komitetu. Żaden z tych panów projektu jeszcze nie widział, a cieszył się jego wspaniałością, wypowiadał radość z powodu, «że geniusz postawi pomnik geniuszowi». Entuzjazmowano się na niewidziane przez całe dni dziesięć.

Ale Matejko projekt swój kazał fotografować. I ci co się entuzjazmowali zaczęli dziwnie jakoś spoglądać. Ten i ów cos tajemniczo przebąknął, zrobił zarzut jeden i drugi, i w niespełna znowu dni dziesięciu entuzjastów zabrakło.

Cofanie się komiczny wywołało objaw. Dzienniki i dzienniczki gniewają się na fotografa, że projekt za pozwoleniem mistrza reprodukował. Po co było fotografować? — piszą na całej linji — wszak to dopiero pierwszy pomysł, wszystko się jeszcze zmieni, przerobi, Matejko da nam inny projekt. Posuwają się nawet do tego, że zarzucają (niewiadomo komu), iż podszedł mistrza i bez jego wiedzy projekt kazał reprodukować. Wszystko to jest nieprawdą, jak i nowa bajeczka, jakoby mistrz zakazał rozprzedaży fotografij.

Co to wszystko znaczy? w jakim celu rozpuszczanie tych bajeczek? dlaczego gniewy za fotografowanie projektu?

Jestto po prostu hipokryzja, a przytem dziwny, śmieszny brak odwagi w przyznaniu się do pomyłki, jestto bojaźń wypowiedzenia swego zdania.

Trudno tego doprawdy pojąć. Przecież za wypowiedzenie, że coś się komu podoba lub nie podoba nikogo nie kamienują.

Idzie tu o rzecz artystyczną. Można mieć najmylniejsze zdanie, najniewłaściwszy sąd o obrazie lub rzeźbie, ale lepiej go mieć i przyznać się do niego, aniżeli samego siebie i innych w błąd wprowadzać.

Komitet przyjął za podstawę projekt Matejki taki, jakim go widzimy na fotografji. O nim więc mówić się powinno, chwalić go lub ganić, bo on jest *podstawą*, a nie jakiś inny, mogący być kiedyś przez mistrza pomyślanym. Ten projekt a nie inny nazywaliście panowie «genialnym», dlaczegoż zabraniacie tę genialność reprodukować i nad nią się zastanawiać.

Przypatrzmy się projektowi Matejki:

broczyńcą kościoła i szkoły, dlatego poczyniono wielkie przygotowania. — Na pierwszem piętrze starsi studenci śpiewali pieśni żałobne, których pojedyncze tony aż na dół spływały.

Po południu długim rzędem ustawiono nas w szkolnem podwórzu.

Tłum ludu cisnął się zewsząd zbitemi masami. Wszystko było niezwykle wzruszone, iż taki pan znakomity mógł umrzeć.

Kondukt wreszcie ruszył pomału. Na czele postępowali śpiewacy i studenci z przewielebnym pasterzem dusz w jedwabnej todze, poprzedzając czterokonny karawan z trumną obitą aksamitem i ozdobioną złotemi herbami. Po obu stronach żałobnego wozu uszykowali się huzarzy komitetowi i trabanci miejscy z pochodniami w ręku.

Tuż za trumną szła stroskana rodzina; w pośród której znajdowała się także stara ociemniała matka, brat i syn młodszy prowadzili ją pod ręce. Nie płakała zupełnie lecz głowa jej spadła na piersi i utykała na każdym kroku. Że musiała jeszcze i tego dożyć. Przygotowała się przecież na śmierć, na nią była kolej! a tu on ją poprzedził! on, duma familii, pełen życia — z pewną przyszłością, on! syn jej pierworodny!

Wszyscy idący za nią płakali, nie wstydząc się łez wylewać publicznie. Nawet mały Gyuri szlochał głośno z twarzą ukrytą w ręku kuzynki. Tak doszliśmy aż do kościoła dokąd wiele znakomitych panów trumnę na barkach zaniosło.

Za nimi wtłoczyła się nieprzebrana liczba ludzi.

Po mowie pogrzebowej, którą wygłosił przewielebny pasterz z ambony, nakrytej czarnem suknem — kondukt znowu wyruszył z studentami na czele na cmentarz.

Odtąd Gyuri nie pokazał się w szkole. Mówiono, że matka jego opuściła miasto, gdzie każdy przedmiot obudzał jej smutne wspomnienie. Przeniosła się do dóbr swoich z dziećmi. Już go więcej nie zobaczymy. W ten sposób skończyła się moja znajomość z biedną staruszką; byłem dzieckiem a dzieci zapominają łatwo. Zapomniałem o całym domie i przyzwyczaiłem się do nowych postaci.

---

Upłynęło lat wiele.

Gdybym zliczył je razem byłoby pewnie ćwierć wieku. Czwarta część całej setki.

Dużo to ach! dużo czasu!

Przez dwadzieścia pięć lat los mną rzucał jak piłką. Wszystko zmieniło się koło mnie. Przed mem obliczem, w sercu mojem zmieniali się ludzie zaledwie tak do siebie podobni, jak wonny pączek polnej róży do owego kwaśnego kolącego wewnątrz owocu, który zwykle z kwiatu róży powstaje.

Wreszcie raz po dwudziestu pięciu latach wróciłem znowu do kraju. Była ósma godzina rano, chwila rozpoczęcia szkoły. Mali chłopcy spieszyli jak dawniej z dużemi książkami pod pachą, z tabliczkami u boku; niektórzy z zakłopotaną twarzą, zapewne nie umieli lekcyi!

Przechodziłem właśnie koło domu dobrej staruszki. Dom był pomalowany zielono jak przed laty; rozjuszony lew gryzł jeszcze teraz łapę miedzianą przeznaczoną do pukania.

Drzwi skrzypią trochę po otworzeniu, a podwórzec jest trawą zarośnięty, czego przedtem nie było. Wszelako na pytanie kto tu zamieszkuje? odpowiedziano i teraz: «Wielmożna starsza pani».

Dobra stara babunia! A zatem żyje jeszcze!

Przeszliśmy przez ciche pokoje. Otworzyliśmy znane drzwi. Wszystko tak, jak było. Stare ciemne skrzynie pod ścianą — jeszcze ciemniejsze — szklanne szafy; stół i krzesło na zwykłem miejscu. Nic nie zmieniono. Ani jeden sprzęt nie usunął się z pokoju, wszystkie stały jak dawniej zadowolone z położenia! Tam w kącie duży fotel na kółkach służy dotąd dobrej staruszce. Siedzi w nim, ledwie się poruszając, nieczuła na wpływy zewnętrzne, mówić nie potrzebuje prawie nigdy. Jej stara towarzyszka stoi za krzesłem i tka pończochę, nie dlatego, iżby tej ktoś żądał od niej ale z przyzwyczajenia — dla zabicia czasu.

Usłyszawszy chód obcy, staruszka zapytała kto do niej przyszedł? Powiedziano jej, że Maurycy, Mauryś, który ongi był tak dobrym kolegą Gyuriego.

— Tak? Maurycek! — wyjąkała dobra staruszka, skinęła żeby się zbliżyć i starała się dosięgnąć mojej głowy i dotknąć włosów: Jakże wyrósł! — szepnęła.

Poczem położyła ręce na kolana, chichocząc głośno. Ktośby mógł myśleć, że się śmieje, wszelako u niej oznaczało to płacz rzewny.

Płakała biedna staruszka!

Nie żądała wcale nowin ze świata, nie pytała mnie o nic; wystarczało jej, iż może dłoń moją w swojej trzymać, a gdy pożegnać się chciałem — rzekła, żebym jeszcze pozostał.

Nie można było rozpocząć żadnej rozmowy, bowiem każda w niej kończyła się płaczem.

Cóż zresztą mogłem się od niej dowiedzieć? Kędy jej liczna familia się rozpierzchła? Dlaczego żyje tak samotnie?

O! na te pytania byłaby bardzo smutna odpowiedź!

Trzech romansopisarzy znużyłoby się, gdyby chcieli wszystko to opowiedzieć, co zaszło w tej rodzinie.

Siostra Gyuriego blada, wysmukła dziewczyna była podczas trzech karnawałów najlepszą tancerką na balach, czwartego zaś najbielszą zmarłą w trumnie.

W rok później umarła dziewczynka na szkarlatynę; śmierć wybierała naprzód wszystką młodzież.

Młodszy syn, oficer wskutek jakiejś obrazy miał pojedynek. Przeniesiono go do domu z przestrzelonem sercem.

Potem przyszła kolej na matkę Gyuriego. Od śmierci męża cierpiała na nerwy w takim stopniu, że lekarze zwątpili o niej. Jeździła z jednych kąpiel do drugich, wreszcie porzuciła wszelkie podróże i na wieki została wyleczoną.

Smutniejszą jeszcze jest historya kwalifikującej się do zamężcia dojrzałej siostrzenicy. Umarła — tak — ale z czego? z niewierności jakiegoś nikczemnika na złamane serce. Z powodu cicho trawiącej choroby, czy też cicho trawiącej zgryzoty. Nazwijcie to jak chcecie, dość że cherlała, więdła i z tego umarła.

Następnie lotem błyskawicy rozeszła się pogłoska, iż starszy wnuk, pilny młodzieniec przygotowujący się w kolegium na adwokata, wskutek kurczu, chwytającego go w kąpieli, lubo był najlepszym pływakiem, w oczach kolegów utonął. I to w nędznym strumyku, który zwykle śpiewająco przepływał!

Po odebraniu tej przerażającej wieści nieszczęśliwa matka popadła w gwałtowną febrę i w czternaście dni poszła za dziećmi swemi. Tu już nawet poczciwa babunia utraciła chrześciańską cierpliwość.

— Czyż to pięknie z waszej strony — mówiła do zmarłych z wyrzutem, iż chowacie razem ze mną wnuki a potem umieracie sami, zostawiając mnie stroskaną na ziemi. Czyż to ja powinnam groby wam sypać? Czyż ja mam wszystkich was pogrzebać? O! — to jest nielitościwość! Straszna, szkaradna bezwzględność!

Czas płynął znowu zwykłą koleją; poczciwa staruszka ciągle nową lat liczbę na trumnie pisać kazała, sądząc zawsze, że wymalowana świeżo będzie ostatnią i że już nikt przed nią nie umrze.

Ale stało się inaczej. Brat jej, który żył długo z czaszką załataną srebrnym płatkiem przeniósł się wreszcie w zupełny stan spoczynku. Staruszka pochowała go także.

Mickiewicz siedzi. Nie będziemy powtarzali tych wszystkich argumentów, które w swoim czasie komitet z całą prassą wypowiedział za stojącą postacią Mickiewicza. S. p. Szujski najlepiej zestawił te argumenty i przekonał nielicznych zwolenników siedzącego Mickiewicza, iż poecie tego pokroju i tego znaczenia co Mickiewicz, na pomniku tylko stać należy. Sprawa to zresztą już tak wyczerpana, tak omówiona, tak powszechnie zrozumiana, warunkami konkursu oznaczona, że roztrząsać jej nie potrzeba.

Mickiewicz siedzi *półnagi*. Szczegół ten opuścił «Czas» w swoim opisie projektu. Mickiewicz więc nie byłby tym Mickiewiczem, jakim się w wyobraźni naszej przedstawia, ale jakimś lirnikiem, wieszczkiem Wernyhorą, lub Jowiszem olimpijskim Fidiasza. Rzeźba dziś w swoim realizmie przedstawia nam na pomnikach ludzi jakim i byli, w stroju upatruje nieodłączną charakterystykę człowieka. Mickiewicz to nie wspomniany Jowisz Fidiasza, rozparty na tronie i potężny nagiemi kształtami ciała. Thorwaldsen gdyby dziś żył nie dałby nam nagiego Włodzimierza Potockiego ani w stroju rzymskim ks. Józefa Poniatowskiego, który też wygodnie później został zmieniony na św. Jerzego. Sztuka dziś w realizmie znajduje piękno, rzeźba wykuwa żołnierza francuzkiego w mundurze, kepi i z bagnetem, a nie nagiego lub ubranego w hełmy i pancerze rzymskie. Posąg Wiktora Hugo jest prześlicznym, wspaniałym w układzie i draperji, choć go surdut dzisiejszy pokrywa. Zresztą czyż w charakterze samego Mickiewicza leżało pozowanie na wieszcza, proroka? Prawda, skromność, naturalność — to cechy największe jego geniuszu. Ktoby pojął, że ten obnażony od góry starzec, o rozwianych włosach, odkrytych stopach, to autor «Pana Tadeusza»?

Ale w charakterze twórczości Matejki leży ta alegorja i ta symbolika, która nie przepuściła nawet postaci Mickiewicza, pomimo iż resztę pomnika zupełnie dla siebie zagarnęła. Nagi, zupełnie nagi geniusz, allegorja przyszłości z lampą, sowa siedząca na druidycznym kamiennym tronie, tuż obok głowy Mickiewicza, orzeł olbrzymich rozmiarów, kotwica i wreszcie napis: «Ja jestem miljon», składają się na ten pomnik, potrzebujący komentarzy, dowodzący wysokiej fantazji twórcy i zamiłowania w symbolice. Dla uzupełnienia projektu wyraził się Matejko, iż pomnik mógłby stać w basenie napełnionym wodą.

Przytem Matejko całkiem nie rachował się z wymaganiami rzeźby. Nawet wyobrazić sobie nie można jakby wyglądały w modelu boki, a zwłaszcza tył pomnika. Byłaby to dziwna jednostajna płaszczyzna, jak tył szafy lub kredensu. Przy ścianie wielkiego budynku, jako pomnik grobowy, projekt Matejki dałby się jeszcze zastosować, ale nigdy na otwartym placu.

Z opisu tego widać jak Matejko był samym sobą, jak nie rozróżnił odmiennych warunków rzeźby i malarstwa. Rysunek jego wykończony szczegółowo i reprodukowany dajmy na to w miedziorycie, mógłby być piękną fantazją, piękną apoteozą Mickiewicza, ale zawsze byłby tylko pięknym rysunkiem, ale nie modelem na pomnik wieszcza. Ta niespokojność przebijająca się w linjach, te ruchy gwałtowne, gorączkowe, stanowiące indywidualizm Matejki, są całkiem obce klassycznym formom rzeźby.

Matejko bardzo dobrze rozumiał, że w pomniku Mickiewicza powinien być zachowany charakter narodowy: wszystkie trzy jego projekty, a zwłaszcza dwa pierwsze jasno tego dowodzą,— ale wpadł w ostateczność, poświęcając postać wieszcza dla piękności artystycznej, tak jak ją on pojmuje. Matejko zatracając indywidualność postaci Mickiewicza chce ją wyzyskać dla sztuki, a ogółowi idzie o wyzyskanie sztuki dla Mickiewicza. Nie Mickiewicz dla rzeźby, lecz rzeźba dla Mickiewicza.

Projekt Matejki nie wzbudzałby w nas obawy, gdyby nie ogólnikowa uchwała komitetu, pozwalająca się wszystkiego domyślać. Dodano Matejce komissją złożoną z jednego architekta i pięciu nieznawców. Ta komissja ma wspólnie z Matejką «obmyślać sposób wykonania». To rzecz bardzo niebezpieczna.

Niebezpieczeństwo także zapowiada ogłoszenie, aby porozumiewać się z sekretarjatem Szkoły Sztuk Pięknych co do nadsyłania bronzów i zawiadomienie tegoż sekretarjatu, iż pomnik w Krakowie będzie wykonany. Nie mając nic ani przeciw wykonywaniu w Krakowie pomnika, ani przeciw zbieraniu bronzów, z zadziwieniem jednak widzimy, iż komitet mickiewiczowski złożył widać swoją władzę w ręce Sekretarjatu.

Dalej tenże sam Sekretarjat donosi o rzeźbiarzach zgłaszających się do Matejki, zachęca innych do tegoż i zaręcza, iż roboty będą mogły niebawem się rozpocząć.

Wszystko to dowodzi, że Matejko pojął uchwałę komitetu jako daną sobie carte blanche. Poleci wykonać rzeźbiarzom projekt trzeci lub też jakiś nowy przez siebie obmyślany. Rzeźbiarze zejdą na prostych rzemieślników, najemników.

Byliśmy pierwsi z tych, co Matejkę pragnęli widzieć na czele jury, dać mu głos decydujący przy wyborze, pomysły jego uznać jako wskazówki dla rzeźbiarzy, ale ażeby sam Matejko projekt dawał, a rzeźbiarze go niewolniczo wykonywali, tego nie przypuszczaliśmy, a do tego wszystko zmierza.

Myśmy sądzili, że komitet odezwie się do rzeźbiarzy: «macie oto trzy pomysły Matejki, korzystajcie z nich o tyle, o ile pomysły te do rzeźby nadać się mogą, weźcie na uwagę wyrażony w nich charakter narodowy, modelujcie i obmyślajcie według tego wasze projekty. Podanie motywów nie upokarza was, dziękujcie mistrzowi, że je sypnął hojną dłonią, radźcie się go, zastosujcie się do tych uwag, które z warunkami waszej sztuki się zgadzają, ale róbcie projekty *sami*.»

Rzeźbiarze zgodziliby się na to chętnie, a z modelów przez nich nadesłanych należałoby zrobić wybór. Tu znowu pomoc Matejki byłaby ważną, nieocenioną. On jako prezes jury, z przyznanym sobie podwójnym, a choćby potrojnym głosem, mógłby na wybór wpływać rozstrzygająco. Rola jego tutaj byłaby pierwszorzędną, głos jego prawie stanowczym.

I miejmy jeszcze nadzieję, że Matejko rzeźbie polskiej zrobi to ustępstwo.

*
* *

PS. Po napisaniu powyższego artykułu wpadł nam do ręki ostatni Nr. Prawdy, zawierający poważną i fachowem piórem napisaną w poruszanej przez nas sprawie korespondencją. Podajemy z niej wyjątki:

«Ale od czego dowcipny marszałek Zyblikiewicz! Wyratował on z kłopotu całą radę pomnikową, olśniwszy zarówno nieprzyjaciół, jak i wielbicieli *jury*, nazwiskiem Matejki. Wykonanie tego znakomitego pomysłu odbyło się przyzwoicie i z powodzeniem. Po przyjęciu projektu marszałka, kółko poufne porozumiało się z mistrzem. Pozornie zdawać by się mogło, że Matejko, dwukrotnie pominięty milczeniem przez poprzednie sądy konkusowe, nie zechce po raz trzeci imać się sprawy, w której spotykał same niepowodzenia..... Mistrz więc zgodził się i wyrysował nowy szkic pomnika. Na godz. czwartą 15 kwietnia hr. Artur Potocki sprosił do siebie «pod Barany» wszystkich miejscowych członków komitetu, z których wielu też przyszło; tam zgodzono się na popieranie projektu, którego twórca był obecny i udzielał żądanych objaśnień. Trudno było protestować w tych warunkach, gdzie względy poważania dla mistrza i grzeczność dla gospodarza krępować musiały swobodę słowa. Pełne posiedzenie komitetu, urządzone nazajutrz po tem zebraniu, załatwiło sprawę tak, jak ją naprzód przygotowano. O konkursie i o *jury* wcale mowy nie było, uchwalono tylko uznanie dla sędziów znaczną większością głosów (wbrew opinji przedstawicieli prassy warszawskiej) a nad listami nadesłanymi w sprawie protestu przeszło zgromadzenie do porządku dziennego, skoro panu Ożogowi, byłemu prezesowi Czyt. Akad. wyjaśnił radcą miejski, mecenas Jakubowski, że «kto ciekawy, może sobie sam przeczytać». Role były rozdane, a wiadomo jak wiele w każdem parlamentarnem ciele dokonać może kilku ludzi, którzy porozumią się poprzednio, rzecz umówioną rozwijają swobodnie i dokładnie, podczas gdy przeciwnicy rozstrzeleni, zaskoczeni niespodzianką—na schodach dopiero zazwyczaj wpadają na myśl, że dali się wyprowadzić w pole. Według opowiadania członków komitetu, każde słowo przeciwne umówionym planom przyjmowane było grobowem milczeniem, które mogło zamrozić najgorętszy zapał i najgłębszą wiarę. Bez wrażenia też przebrzmiały pojedyncze głosy, jak hr. Lanckorońskiego, który ostro oceniał romantyczny nieład projektu Matejki, jak Popiela, domagającego się konkursu na tle tego projektu — jak nareszcie akademika Jendla, przypominającego komitetowi, iż trudno niefachowym ludziom w przeciągu kilku minut ocenić i przyjąć pobieżny szkic rysunkowy, kiedy specyalni sędziowie, długo rozważając wartość projektów plastycznych, nie umieli wydać rzetelnego wyroku.

«Projekt ten zawiera w sobie wszystko, na co się słusznie oburzano przy pierwszym konkursie: ma siedzącą postać główną, ma nagie alegoryczne postacie dodatkowe, będzie miał wodę u spodu i t. p..... Takim jest ów projekt genialny, jak się go ludziom nazwać podobało, a w rzeczy samej utwór sztucznie skomponowany, niejasny, potrzebujący koniecznie komentarza. To też komitet na zebranie poufne musiał zaprosić artystę, aby on sam rzecz wytłomaczył. Gdzież tam widać zachwalaną stronę narodo-

wą pomysłu, kto pozna, że mąż obnażony, rozparty na krześle jest Mickiewiczem? Pojąć można pomysł alegoryczny, ale sam w sobie; umieszczenie zaś obok postaci indywidualnych, postaci innych allegorycznych, jest pokrzywdzeniem jednych lub drugich, geniusz będzie gołym chłopakiem, lub Mickiewicz allegorją — mytem...

«Pysznie rzucony szkic rysunkowy przez malarza tej miary, co Matejko, z postaciami gorączkowemi, w ruchach chwilowych, chrakter pomysłu, który jest niby chwilą gwałtownych uniesień, to wszystko mogło zyskać opinję członków komitetu, ale znawców nigdy odurzyć nie powinno. Słusznie też hr. Lanckoroński, smakosz artystyczny pierwszej miary, przemawiał w obronie warunków rzeźby, pragnąc, aby je posiadał pomnik, który niema być chwilowych bólów nerwowym obrazem, lecz winien zachować spokój nieśmiertelnego piękna rzeźby.

«To co stanowi istotną cechę twórczości Matejki, jest tak wprostprzeciwne naturze rzeźby, iż mimo całej wiary w jego wielkość artystyczną, wątpić trzeba, czy próba się uda; groźby Lessyngowskiego Laokoona, mimowoli i wiedzy na myśl przychodzą. Postacie Matejkowych obrazów historycznych nie dałyby się tłumaczyć w rzeźbie, która wymaga czegoś szerszego w stylu, czegoś spokojniejszego w linjach a przynajmniej duchowo spokojniejszego, nie tak rozerwanego, niepewnego, ruchliwego..... Prostota i spokój, stylowość szlachetna, antyczna — że tego wyrazu użyję — nie leży w usposobieniu mistrza, niezrównanego w historycznych, pełnych chaosu, gwaru obrazach. Proste wczytanie się w życiorys Matejki poucza, iż jego rozwojowi obcym jest pierwiastkiem — studyum rzeźby klasycznej, a przecież pomnik dla Mickiewicza bez tego pierwiastku doskonałym nie będzie; rachować zaś, że nada mu go wykonawca-rzeźbiarz, jest to myśleć o zatraceniu tego, co stanowi siłę i wartość Matejki.

«Uspokajał jeden z przywódców zamachu, że szkic brać trzeba jedynie jako ogólną podstawę pomysłu, że zmieni się ona jeszcze nieraz; obrona ta dowodzi gorączki, z jaką się wzięto do sprawy, mówi, iż rysunek mistrza nie jest owocem rozwagi, ale naprędce zrobiony. Byłoż więc sprawiedliwem, nie mając właściwie projektu głosić go genialnym a budować na nim nadzieje? Możemy być pewni, że projekt Matejki zmieni się jeszcze bardzo; ale niema co liczyć na to, by mistrz dał się powodować czyjej bądź opinji, a w skład komitetu dodanego mu wchodzą nadto ludzie, nieobeznani z warunkami stawiania posągów.»

* * *

Kiedy z Poznania i Warszawy dobiegły nas echa tryumfów scenicznych panny Poszpiszilownej, z pewnem zastrzeżeniem je przyjmowaliśmy, znaczną ich część składając na karb tej sympatyi, jaką darzono u nas kapłanki czeskiej sztuki. Dwukrotne wystąpienie czeskiego gościa przekonało nas, iż płonnemi były nasze przypuszczenia. W pannie Poszpiszilownie poznaliśmy artystkę, która nie potrzebuje się odwoływać do sympatyj plemiennych, aby zdobyć sympatyą i uznanie publiczności; kiedy się wspomina o jej artystycznej działalności, o narodowości należy jedynie pamiętać z racyi, iż chlubę jej przynosi tak utalentowana córa. Nie chcąc wkraczać w atrybucye naszego sprawozdawcy teatralnego dokładnego rozbioru gry pn. Poszpiszilownej nie podajemy, zanotować jedynie ogólnikowo możemy, iż rodzaj talentu doskonale się nadawał zarówno do roli Gabryelli w komedyi *Frou-Frou*, jak i Cypryanny w *Rozwiedźmy się*, że zasadniczą cechą gry jest głębokie pojęcie charakteru, konsekwentne przeprowadzenie przez wszystkie momenta, z zachowaniem subtelności, podkreślanych umiejętnie i swobodnie.

Nie mniej ważną zaletą jest panowanie nad stroną pamięciową roli, swobodna gestykulacya i uważne «słuchanie», będące niezbędnym warunkiem racyonalnej mimiki twarzy i czuwania nad nicią przewodnią kreacyi. Nie jest pn. Poszpiszilowna zwolenniczką gry błyskotliwej, efektów niespodzianych; gra równo, akcentując momenta decydujące, bez jaskrawego ich wyróżniania. Jawnie to wskazuje, iż nie jest zwolenniczką improwizatorstwa scenicznego, lecz obmyślania z góry kompozycyjnej strony danej roli. Jeżeli w uzupełnieniu tych ogólnych uwag, dodamy, iż nader ujmująca powierzchowność dopomaga do osiągnięcia efektu, ze głos silny, metaliczny doskonale dostraja się do warunkow roli, że w opracowaniu każdej znać intelligencyą idącą w parze z talentem i zamiłowaniem sztuki, to zakończymy naszą ogólnikową notatkę życzeniem, aby dla personalu naszej sceny ten wzór talentu i pracy przyniósł jakie korzyści, czeskiego zaś gościa, w progu naszej kapliczki Melpomeny, witamy serdecznem: *Na zdar!*

# PRZEGLĄD LITERACKI.

*Józef Bliziński. Nowe humoreski. Lwów. 1885.*

O dobry humor i wesołość trudno w życiu, zwłaszcza zaś u jednostek, którym się ono zaznacza smutkiem a nadzieją. To też o humorystów prawdziwych trudno u nas, jak o dobre czasy; albo satyra społecznego (Łam), albo zmieszana z lekką pogróżką i „ugryzieniem serca“ (Bałucki), albo wreszcie przejawia się z Heinowską zgryźliwością (Gomulicki). Poczytywany za wyrocznią w utworach humorystyki, Wilczyński, odzywa się w ostatnich czasach rzadko w sprawach ogólniejszej natury, zasklepiwszy swą twórczość w obrazkach treści niebogatej, często nawet pospolitej. Humorystyka nasza ma jeszcze obszerne pole w komedyi; a przedstawiciele naszej literatury dramatycznej często w formie powiastkowej składają dowody swego daru obserwacyjnego, krasząc go lekkim odcieniem swobodnego humoru. Przoduje im niewątpliwie Michał Bałucki. Kilka podobnych szkiców Lubowskiego (*Powieści niemoralne. Serya I. Warsz. 1884*) noszą wybitne piętno psychologicznej analizy, szerszego pokroju, tłumiącej swobodę i lekkość. Bliziński, który, jako komedyopisarz społeczny budzi jeszcze równie wielkie nadzieje, jak miał dotąd powodzenie, łączący w swej twórczości pisarskiej poważny cel, ostrą satyrę i miłowanie swojszczyzny, w zbiorku, który mamy przed sobą rzucił kilka szkiców, jakby stworzonych w wolnych od poważniejszej pracy chwilach. Są to jakby drobne okruszyny znacznego talentu. Temat niepretensyonalny, obrobienia swobodne, graniczące z zaniedbaniem częstokroć a wszędzie lekkie wyszydzenie złego i pożyteczny morał. Bliziński zakopany na wsi, zna jej mieszkańców doskonale, wiemy o tem z „Pana Damazego“, „Rozbitów“ i „Marcowego kawalera“. Z „Nowych humorek“ przekonywamy się o tem jeszcze dowodniej, jeżeli nawet p. Czarnoskalskiemu (Rozbitki) dostaje się surowa chłosta za niezaradność gospodarską, to w powiastce „Sielanka p. Michała“ podobna niezaradność jest ledwie lekko wyśmianą, a niepraktyczne pojęcia mieszczucha, jego niezapobiegliwość raczej bawią, niż gniewają. To samo prawie z innemi „humoreskami.“ „O koniu, co zjadł sam siebie“ to doskonała przestroga dla amatotów angielskich szkap do wiejskiego szyku. „O co im poszło“ jest jasną wskazówką, że nie należy puszczać się w drogę na wózku sąsiada, choć we własne konie, bo sąsiad może się upić, nabrać fantazyi, bryczkę wymówić i na... koniu osadzić. „Ostatni figiel p. Wojszczyca“ cofa nas w niedawne wprawdzie, ale zanikłe już czasy, kiedy to wykradano panny, kiedy figle takie płazem uchodziły (jeżeli nie zaszło takie *qui pro quo*, jak w tej humoresce) i kiedy wujaszkowie przebaczyli swym siostrzenicom niewielkie wykroczenia przeciw subordynacyi. Jeżeli kłopoty z „pierwszym frakiem“ zakrawają na coś poważniejszego, to „składkowy obiadek“ jest nader niepretensyonalny a bardzo prawdziwy.

Z tych kilku humoresek można poznać naszych kilka wad, ale autor tak je przedstawia barwie i żywo, że książkę czyta się z zapomnieniem, że ona karci i dopiero kiedy się zamyka, przychodzi na myśl nauka i żal, że jej tak mało. **M.**

# PRZEGLĄD TEATRALNY.

**Dyoniza**, *A. Dumasa.* **Mąż z grzeczności**, *pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego. Benefis p.* **Ruszkowskiej.**

Spotkawszy się z nazwiskiem Dumasa (syna) na afiszu, można nieomal przewidzieć, że każe dramaturg francuski wysłuchać albo kwestyi wiarołomstwa małżeńskiego, albo rehabilitacyi kobiet upadłych; rzadko się zdarza, aby nazwisko autora tak uprzedzało o temacie sztuki, jak to ma miejsce z najpopularniejszym z dzisiejszych pisarzów scenicznych. Nic dziwnego, że Dumas wyłącznie prawie poświęciwszy swe pióro tym kwestyom, dochodzi w ich przedstawieniu do takiej perfekcyi, ale bo też trzeba być dobrym adwokatem do obrony podobych procesów z opinią, jakie zwalczyć usiłuje autor „Kameliowej damy.“ Jednym z takich jest przedmiot najświeższej nowalii paryskiej sceny, najnowszej „sztuki“ Dumasa, *Dyonizy*, którą w krótkim stosunkowo czasie pozwolono nam ujrzeć ze sceny krakowskiej. Dyoniza ma wszystkie pokrewne cechy tendencyj autorskich Dumasa, w samem ich przedstawieniu więcej mając filozoficznych roztrząsań, niż akcyi. Francuzi, przemyślni obmyśleli dla podobnych utworów tytuł, który zrzuca z nich obowiązek trzymania się jakichkolwiek zasad techniki dramatu.

Pod pokrywką „sztuki“ (*piéce*) przesuwa się albo galeryę typów, niepowiązanych ściślejszą akcyą, albo filozofów, debatujących nad rehabilitacyą kobiet upadłych a widz, opuszczający teatr, nie zdawszy sobie jasno sprawy czy widział dramt, czy komedyą, to jedynie pamięta, że „sztuka“ w 4-ch aktach zajmuje 'go nadzwyczaj żywotnym tematem, że podano mu tę strawę

duchową w formie delikatnej i interesującej, nie zwraca często uwagi nawet, że poruszono wszystkie sprężyny swady adwokackiej dla przekonania go o słuszności sprawy, niezupełnie jasnej, że uciekano się nieraz do środków wyjątkowych i że z trudem dopłynięto do celu. Dumas, jak nikt inny, może wmówić w widza, że nie broni sprawy, tylko przedstawia fakta, może ukryć swe tendencyjne pazurki, zasłoniwszy się togą spostrzegacza ludzkich charakterów, analizatora serc. I przez to widz zapomina często, że jest przy rozbiorze faktu, z góry przygotowanego, przy rozegraniu partyi, której pionkowie przedtem już poinformowani byli o posunięciach. Zapomina o scenicznym filozofie, bijąc oklaski scenicznemu autorowi. Ale przyjrzyjmy się *Dyonizie*. Dźwiga ona na sobie takie mniej więcej hasło: „kobieta, która przez nieświadomość czynu i miłość — upada a później, kochając innego, na drogę szczerej poprawy zeszła i swemu drugiemu wybrańcowi na każdym kroku okazywała szacunek i przyjaźń, nawet dla jego blizkich — taka powinna być dopuszczoną do szczęścia ogniska domowego, powinny jej być zapomniane dawne grzechy, a otwarta droga do uczuć szlachetnych, czynów wzniosłych i małżeństwa z ukochanym.“ Taką kobietą jest tytułowa bohaterka; o jej prawa walczy autor przez cztery akty, ją pragnie oczyścić przed opinią, a zwłaszcza hr. Andrzejem de Bardannes (p. Sobiesław), który ją pragnie zaślubić. Ona to, w latach rozkwitu dziewictwa, ulegając obłudnym namowom Ferdynanda (p. Arwin) stała się winną względem opinii, ona wreszcie dostępuje przebaczenia i wychodzi za mąż, za tego, którego jej serce wybrało po burzliwych przejściach. To streszczenie jest nieomal dostatecznem — wszystko co się dzieje po za tem, są to akcessorya drugorzędne — to jest zasadniczy motyw sztuki. Dla wyjaśnienia jednak obrony Dumasa, środków, jakiemi walczy, trzeba wskazać na niektóre wybitne momenta dramatu. I tak. Panna Dyoniza de Brissot, zakochawszy się w towarzyszu swoich lat dziecinnym, lekkomyślnym Ferdynandzie de Thauzette zawierzyła jego uczuciu całą swą osobę, zawiodła się jak najgorzej na tem zaufaniu, w całej grze miłosnej zyskując tajemnicę swego upadku przed własnym ojcem i szerszym światem. Ferdynand, twórca i wyznawca wielu nazbyt swobodnych zasad o moralności i obowiązkach, trzymający się zdania, że „kobieta powinna się bronić przedtem a mężczyzna potem“, obronnie wychodzi „potem“, bo opuszcza kochankę, dziecko i szuka sposobu podreperowania nadrujnowanego majątku posażnem ożenieniem. Po kilku latach poszukiwań, młody Argonauta znajduje swą Kolchidę w domu hr. Andrzeja de Bardannes, a jest nią siostra jego, hrabianka Marta.

W tymże domu „do towarzystwa panną“ jest Dyoniza, polecona hrabiemu wraz z ojcem i matką przez panią de Thauzette (p. Hoffmann). Przymioty serca Dyonizy sprawiają, iż hrabia się w niej zakochuje i już zamierza poślubić, kiedy Dyoniza, widząc, iż tak p. de Thauzette, wtajemniczona w jej przeszłość, jak i główny sprawca jej nieszczęśliwego położenia, Ferdynand kryją przed hrabią jej upadek — sama mu to wyznaje, mówiąc przytem: „należę do tych, które kochają, których się jednak nie zaślubia“. Oczywiście Marta traci nadzieję wyjścia za Ferdynanda, bo ojciec Brissot, podsłuchawszy wyznanie córki, nietylko chciał udusić uwodziciela, lecz wymaga stanowczo ślubu połączonych uprzednio nieprawnie kochanków. Marta, zawiedziona w miłości i Dyoniza w życiu, pragną wstąpić do klasztoru, jednak Andrzej de Bardannes, przekonany słowami swego przyjaciela Thouvenin'a (p. Zapałowicz) łamie przesądy i żeni się z Dyoniza.

To wszystko, co mówi Thourenin o kobietach jest mową obrończą autora, resonerski przyjaciel psujący swymi argumentami nie dość wprawdzie ruchliwą, ale interesującą akcyą poprzednich scen w swoim ferworze i wyszukiwaniu co raz nowych usprawiedliwień przywodzi na pamięć owego starożytnego adwokata, który dla ocalenia skazanej nie wahał się chwalić nawet jej strony zewnętrznej, Thouvenin wszystko zbiera, co się da; uderza w rozum, uczucie, miłość własną, porusza miłość chrześciańską i filozoficzne rozgrzeszenie, które dają mu w rękę pomyślny rezultat, po wykrzykniku Andrzeja: „Nie mogę!.“

Coby o najnowszej komedyi Dumasa nie chciał powiedzieć najsurowszy moralista, musi jej przyznać obok wielu zalet, dwie inne: miłość ludzkości i konsekwentne jej związanie z dawnemi utworami. Ale o obowiązku postępowania sobie, na sposób Andrzeja, mógłby odpowiedzieć słowami Dumasa: „Obowiązek jestto to, czego wymagamy od innych...“

Wystawa sztuki była staranna, jak niemniej i gra wykonawców. Tytułowa rola w rękach pn. Kałużyńskiej miała wszystkie cechy prawdy; to samo można powiedzieć o p. Sobiesławie, który uniknął ckliwości w roli Andrzeja, a grą pełną prostoty ujmował widzów. P. Rygier, jako stary Brissot stworzył sympatyczny typ; p. Hoffmanowa miała przy swojej rutynie scenicznej wdzięczne pole popisu, które w konwersacyjnych scenach wyzyskała należycie. P. Arwin przeniesiony w sferę dramatu dostrajał się do ensemblu. Pn. Sułkowska zarysowała charakter Marty szczęśliwie. W drugoplanowych rolach złożyli dowów dbałości o dobro sztuki pp. Wojnowska, Wolska Pysznik i Solski. Thouvenin'a grał p. Zapałowicz.

Utwór Dumasa poprzedziła pełna humoru i werwy komedya pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego *Mąż z grzeczności*. Właściwie komedyą nie można nazwać tego pierwszego produktu, świeżo zawiązanej spółki literackiej, niema na tak poważny tytuł warunków; sam temat i obrobienie raczej do farsy ją zbliżają. Charaktery figur mają pozory prawdopodobieństwa, ale ich rysunek jest szkicowy; sytuacye niewyszukane wprawdzie, ale do niższego komizmu skłaniające działaczy. Proszę sobie wyobrazić p. Hilarego Trąbkiewicza, do tyla grzecznego człowieka, iż przymusowo ożeniony, obawia się upomnieć o prawa małżeńskie, przez co naraża się na wiele nieprzyjemności i ze strony zapomnianej żony i całej jej rodziny. Trudno pojąć, abyśmy tak „grzecznego“ spotkali człowieka w drugiej połowie XIX. w. To też zgodziwszy się, na to, że „Mąż z grzeczności“ jest farsą, przyznać trzeba, iż jest napisana z niekłamanym humorem a chociaż trzeci akt w ogólnej budowie wyróżnia się nadto ospałą akcyą, jednak nieuniknionem to było po skoncentrowaniu wszystkich komicznych efektów w akcie II. Zresztą po ostatecznem porozumieniu małżonków przy powtórnem zapadnięciu kurtyny, niknie interes główny, z chwilą zapanowania zgody w „grzecznem“ stadle, z chwilą załatwienia najważniejszego sporu, widz nie interesuje się dalszemi losami „grzecznego męża“. Skoro go żona przekonała, że każda grzeczność ma swoje granice, zwłaszcza w małżeństwie, p. Hilary jest na drodze do zupełnej poprawy.

Wystawa podobnej sztuki o temacie dość drastycznym wymaga gry subtelnej, delikatnej, omijania drażliwych miejsc roli; jednem podkreśleniem nadto silnem szkodzi się samej farsie. Grający tytułową rolę p. Arwin szczęśliwie wyszedł ze swego zadania, czego mu szczerze powinszować można. Rola żony składa się z nader delikatnych odcieni, potrzebuje połączenia miary estetycznej z nieszkodliwym realizmem, wymaga wreszcie wdzięku i świeżości. Pn. Ruszkowska nie wszystkie wymagane warunki okazała. W jej grze było wiele humoru, ujmującej prostoty, nie brakło zręcznej aktorskiej roboty, lecz całość nie miała jednolitości, dobrze obmyślane szczegóły niepowiązane były harmonijnie, a zbytnie akcentowanie drażliwszych wyjątków roli, kazały posądzać pn. R. o gonienie za płaskiemi efektami.

Inni wykonawcy, mimo nadto wolnego *tempa* gry (piszę po drugiem przedstawieniu) w miarę sił i zdolności zgodnie pracowali; przodował im p. Frenkiel w roli kapitana, o lepsze walczyły p. Wojnowska z p. Wolską; p. Solski i p. Werner starannie traktowali swe role. P. Feldman z p. Koźmin stanowili doskonałą parę służących. Jedynie w grze p. Winiarskiej możnaby usunąć wiele trywialności.

Benefis p. Ruszkowskiej, życzliwie przyjęty przez publiczność, powinien być dla tej użytecznej aktorki zachętą do dalszej pracy, w której poczyniła widoczne postępy.

**Nemo.**

---

**Friebe**, *komedya w 5-ciu aktach p. Kazimierza Zalewskiego.*

Główną osnową sztuki jest zrujnowanie zamożnej firmy Wiesów przez podstępne machinacye finansowe Friebego, spekulanta. Środkami pomocniczemi do tego krachu finansowego bogatych przemysłowców są: niepotrzebna chęć Wiesów wejścia w świat arystokracyi rodowej, tudzież utracyuszostwo młodego Wiesego. Friebe nie jest przyczyną pierwszorzędną ruiny majątkowej, jest niejako brzytwą, podaną tonącemu Poniewskiemu, brzytwą, która się zwraca przeciw ratowanemu. Ale, starym zwyczajem opowiedzmy treść sztuki.

Kiedyś, przed kilkudziesięciu laty, przybył do nas fabrykant niemiecki, Wiese; przybył, jak wielu jemu podobnych: z taczkami, fajką, psem i rękoma do pracy. Uczciwemi środkami dorobiwszy się majątku, stary fabrykant zostawił dzieciom magnacką fortunę, sam zaś zmarł niebawem, opiekunką mianując swą żonę (p. Wolska), energiczną towarzyszkę pracy. Młode pokolenie nie idzie w ślady ojca; zamiast dalej wytrwale pracować, ciężko zapracowany grosz ojcowski trwonią; córka wydana za Poniewskiego, który herbową tarczą miał osłonić dorobkiewiczowstwo Wiesów, dostaje nietylko złego męża, lecz i fatalnego administratora swej schedy; Poniewski traci pieniądze posagowe w gronie kobiet tej miary, co p. Vaugars (pn. Sułkowska), a zamiast dodawać blasku domowi swem urodzeniem i położeniem towarzyskiem, wprowadza do domu teściowej podejrzane figury, jak barona Tuczyteżtamczykiewicza, konsula Patagońskiego itp. Na hulaszcze życie, jakie prowadzi Poniewski (p. Sobiesław), na grę hazardową młodego Wiesego (p. Zapałowicz) nie wystarcza kasa; trzeba zaciągnąć długi; usłużnym wybawicielem jest Friebe, z czasem „pan sytuacyi“. Matka Wiese dowiedziawszy się o grożącej ruinie majątkowej, odbiera Poniewskiemu zarząd fabryki; ale już zapóźno — Friebe jak pająk omotał nieopatrzne muchy; następuje bankructwo firmy i zarazem dramat rodzinny. Poniewski zdradził żonę dla p. Vaugars. Rodzina Wiesów znajduje się w położeniu krytycznem, z którego ma ją wydźwignąć energia matki i pomoc kuzyna (p. Frenkiel), wreszcie rady kasjera (p. Rieger) i Żarskiego (p. Werner).

Taka jest treść komedyi p. Zalewskiego, którą można poniekąd nazwać fotografją pewnych sfer naszego społeczeństwa, upadających moralnie i ma-

teryalnie. Autorowi więcej chodziło o tendencją, o podniesienie kwestji społecznej, niż o zabawę, pochwalenie się sztuczną formą, rozśmieszenie lóż i parteru. Z tego powodu komedja p. Zalewskiego ma wiele zalet, jakich inne komedje nie posiadają, lecz wiele też wad, od których one są wolne.

Jako wady jej wyliczamy: słabe zawiązanie i przeprowadzenie intrygi dramatycznej, zbyt małą akcją i wprowadzenie wielu figur epizodycznych. Wady te, napozór wielkie, opłacają sowicie zalety.

Dla słuchacza inteligentnego, który przychodzi do teatru nietylko aby zabawić się, ale i zastanowić się nad tem, co mu w formie komedji podano, Friebe jest sztuką niepospolitej wartości. Niema w nim efektów nowej szkoły francuzkiej, niema sztucznej, czysto fantazyjnej zazwyczaj kombinacji faktów, niema wyszukanego tematu i wyszukańszego jeszcze rozwiązania, niema tych scen szalonych, drażniących nerwy, któremi aż do przesytu częstuje nas dramat francuski, niema wreszcie modnej obrony tego, co tak stara jak i nowa moralność złem zawsze nazwać musi, ale jest w nim szlachetna tendencja, są w nim typy codziennie napotykające się, a mało dotąd wyzyskane, jest prawda psychologiczna, jest zręczne uchwycenie stosunków społecznych, trafne ich scharakteryzowanie, umiejętność wynalezienia przyczyn ich powstania. Oprócz tego komedja p. Zalewskiego posiada kilka ślicznie obmyślanych sytuacyj dramatycznych, jak scena pomiędzy Poniewskim i młodym Wiesem, lub odkrycie schadzki miłosnej Poniewskiego z p. Vaugars przez jego żonę. Dalej mamy w komedji tej wyborny dyalog między Żarskim, przedstawicielem starego rodu szlacheckiego a Dobkiem, zapalonym demokratą, dyalog kończący się zbrataniem dwóch obcych sobie żywiołów na polu dobra powszechnego. Dodajmy do tego język jędrny i potoczysty, małą dozę ale prawdziwego humoru i przebijający się wszędzie dar obserwacyjny, a ukończymy pobieżne wyliczenie zalet Friebego.

Sztuka ta prowadzona przeważnie w tonie konwersacyjnym, wymaga gry rutynowanej, dlatego też na naszej scenie nie mogła wypaść jak należy. Oprócz p. Wolskiej, mającej bardzo szczęśliwe chwile, najlepiej wyszły typy epizodyczne jak Krzysztof Wiese (p. Frenkiel) i Dobek (p. Rygier).

K.

## DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### Sztuka i literatura:

— **Przegląd muzyczny.** Miesiąc kwiecień był najobfitszym w muzyczne produkcye z wszystkich miesięcy minionego sezonu. Począwszy od „Stabat Mater“ Astorgi z XV-go wieku, bardzo poprawnie wykonanego w kościele P. Maryi w wielki Piątek 3-go Kwietnia słyszeliśmy śpiew hr. Józefiny Michałowskiej, zaszczytnie znanej amatorki w naszym mieście, która zawsze zachwycała nas, śpiewając utwory stosowne do jej głosu mezosopranowego, utwory poważne, klasyczne, czego o utworach lekkich i koloraturowych i wysoką pozycyą mających, powiedzieć nie możemy. Pana Fuchsa, art. opery biorącego współudział w tym koncercie, zastajemy na tem samem miejscu rozwoju artystycznego, na którem przed dwoma laty go już słyszeliśmy. W panu Aleksandrze Michałowskim, którego koncert odbył się 22 kwietnia, poznaliśmy największego obecnie żyjącego pianistę polskiego; zbytecznem byłoby wyliczać zalety gry jego, bo je każdy już kilkakrotnie czytał, a przywar trudnoby wynaleźć. Jednakże jako nasz polski największy pianista, grał prawie przed pustemi ławkami, tak samo jak nasz największy skrzypek Barcewicz; słusznie mówi na takie sprawy Camoëns „Moja najdroższa ojczyzno, jak ty się musisz wstydzić?! W końcu musimy wspomnieć o Wieczorze kwietniowym Tow. muzycznego, na którym wykonano bardzo śliczne ale tak samo długie trio Szuberta; wykonanie nie pozostawiało nic do życzenia pod każdym względem. P. Bylicki odegrał Tausiga „Zigeunerweisen“ a na żądanie rzadko u nas rozgrzanej publiki musiał jeszcze dodać rapsodyę Liszta. Pna Barszczewska deklamowała poprawnie, a p. Niedzielski obdarzył nas tym razem aż pięciu chórami. Każdy kto ich pragnął mógł się nasycić i zadowolić, bo szły gładko. Q.

— **Wydanie dzieł Mickiewicza.** Wiadomem jest, iż z dniem 1 Stycznia 1886 r. kończy się prawo własności literackiej dzieł Adama Mickiewicza. Otóż księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie postanowiła wydać je w taniem wydaniu. Druk T. I. już się rozpoczął.

— **Nakładem księgarni** K. Bartoszewicza wyszedł wydawnictwa taniego dzieł Niemcewicza T. IV. i zawiera dalszy ciąg „Leiby i Sióry“ tudzież Bajki oryginalne.

— **Studyum** Teodora Jeske-Choińskiego „Henryk Heine“, drukowane w naszym „Przeglądzie“ wyszło w osobnej odbitce nakładem księgarni K. Bartoszewicza.

— **Brandes** miał w Kopenhadze odczyt o Warszawie i jej stosunkach; według pism miejscowych życzliwe zdania uczonego duńskiego o nas niezmiernie przyjaźnie były przyjęte przez ogół jego słuchaczy.

— **Król dziadów.** Pan Dominik, młody autor, nie bez talentu napisanego obrazka ludowego „Wigilia Śgo Andrzeja“ spróbował swoich sił w większym utworze scenicznym p. t. „Król dziadów“.

— **P. Kwieciński**, artysta dram. sceny lwowskiej napisał na własny benefis bluetkę jednoaktową „Lorenzo i Jessyka“, której krytyka lwowska przyznaje pewne zalety. Dziatwa Melpomeny coraz częściej chwyta za pióro.

— **P. Piotr Stachiewicz** ukończył nowe płótno „Niewinny całus“. Scena wybrana przez artystę przedstawia wieśniaczkę, młodą matkę, która swego kilkoletniego synka przysuwa do figury przydrożnej; dziecko objąwszy małemi rączętami krzyż, na stopach Chrystusa składa pocałunek.

— **Miasta śmierci**, nowy dramat p. Stanisława Rzewuskiego ma niebawem wejść na repertuar sceny warszawskiej.

— **Marya** Malczewskiego dostanie się na scenę; przeróbki dokonał podobno p. Gomulicki.

— **Chamillac**, jest tytuł najnowszej komedyi O. Feuilleta.

— **P. Antoni Kudasiewicz** napisał powieść dwutomową „Finansista“, której druk rozpoczęła „Bibl. romansów i powieści.“

— **Hrabia Starosta**, studyum społeczne hr. Łosia wyszło w drugiem wydaniu. Rozbiór podamy niebawem.

— **Bilecik miłosny**, M. Bałuckiego odegrano z wielkiem powodzeniem w Warszawie; w wykonaniu tej salonowej bluetki brały udział panie: Czakówna i Mirecka, pp. Wolski i Prażmowski.

— **Ród nieletnich**, komedya pp. Jasieńskiego i Schmitta wystawiona została na scenie lwowskiej, nie bez powodzenia.

— **A. Bełcikowskiego** nowelkę „Stary kawaler“ wydrukowała „N. Reforma“; tamże zamieszczono nowellę Sewera „Wśród walki“.

— **Witold Pruszkowski** wykończył obraz, przedstawiający obnażoną o pięknych kształtach dziewczynę tonącą w powodzi kwiatów.

— **Juljusz Kossak** przedstawi nam niezadługo w pięknej akwarelli „Towarzyszy Kmicica“ (z „Potopu“ Sienkiewicza).

### Z prasy:

— **Tygodnik powszechny** wpadł na dobrą myśl urozmaicenia swej treści ilustracyjnej; redakcya tego pisma ogłosiła konkurs rysowniczy, nagradzający najlepszą główkę *polskiej dziewicy*. Ponętne nagrody (100 i 75 rs.) i obszerny temat powinny poruszyć ołówki naszych rycowników. Ostatni termin nadsyłania prac do 20 maja r. b.

— **Dziennik polski** ukończył druk powieści J. Rogosza „Dla idei“ streszczeniem ostatnich jej rozdziałów dla uniknięcia ciągłych konfiskat c. k. prokuratoryi.

— **Nowa Reforma** wydrukowała w fejletonie nowelkę Michała Bałuckiego, p. t. „Pogrzeb mojego przyjaciela;“ *Ateneum* warszawskie w ostatnim numerze zamieściło drobny utwór powieściowy tegoż autora p. t. „Stara Kasia“.

— **Dr. Gustaw Karpeles** zamieścił w „Gaz. poznańskiej“ życzliwie napisane wspomnienie pośmiertne A. E. Odyńca.

— **Ognisko domowe** lwowskie podaje rysunek rzeźby Tad. Błotnickiego „Hamlet“.

— **Kuryer lwowski** zmienił właścicieli, nabyli go p. p. Jasieński i M. Schmitt.

— **Świt** drukuje niezmiernie ciekawe listy Maryi hr. Raczyńskiej (córki Zygmunta Krasińskiego).

— **Gazeta polska**, warszawska, której ruchliwość od pewnego czasu stała się widoczną, drukuje cykl opowiadań Wł. Zagórskiego „Wilcze plemię.“

— **Kuryer warszawski** zamieszcza w odcinku swoim „Wspomnienia pruskiego oficera“, pióra Józ. Rogosza.

— **Bluszcz** wydrukował dramat Lenartowicza „Sokrates“.

— **Fortuna.** Ukazał się w Warszawie pierwszy numer zapowiadanego pisma pod tak wyszukanym tytułem. We wstępnem słowie, redakcya zapewnia, że „zajmuje posterunek niezajęty dotąd“ — poczem podaje szereg artykułów najrozmaitszej treści. Wyliczać wszytkich niepodobna, zaznaczamy więc, iż poezyą reprezentują: Konopnicka, P. Wysocki, p. Czesław i p. Maryan Bohusz. Belletrystykę pp. Dygasiński i Wołowski (dwukrotnie). Część kronikarską opracowano z zasobem polemicznej domieszki, wkraczającej nadto często w obronę osobistości, zdradzającej koteryjność, którą na innem miejscu surowo się karci. Pretensyonalny artykuł „Charaktery i talenta“, rozbiór kilku nowszych dzieł i dość „przegląd teatralny“ uzupełniają całość, której prawdziwą ozdobą są rozbiory krytyczne Józefa Kotarbińskiego. Może następne numery przyniosą nam więcej prac gruntownych.

— **Romans i powieść** ukończył przekład *Dyonizy*, A. Dumasa.

— **Wędrowiec** drukuje dalszy ciąg artykułów p. Witkiewicza „O krytyce malarskiej“; tenże tygodnik zamieścił poetyczną nowellę M. Gawalewicza „Babunia śpi“.

— **Baronowa Ziemiałkowska** wydała swoje poezye i nowelle po *francusku*. No, no!...

— **Głos polityczny.** Jest to nowy tytuł „Gazety krakowskiej“, która w tej nowej szacie nie zmienia swych dawnych zasad.

### Zmarli:

† **Stanisław Koźmian**, prezes poznańskiego Tow. Przyj. Nauk, niepospolitych zdolności tłumacz Szekspira, autor rozpraw historycznych, tudzież cennego dzieła „Anglia i Polska“.

† **Leonard Rettel**, belwederczyk, zdolny publicysta, autor dzieła „Cyryl i Metody“ zmarł w Paryżu.

† **Kostomarow**, historyk rosyjski.

TREŚĆ Nru 7-go i 8-go: Pierwszy rzut oka przez Maryana Dimmla. Franek Żołnierzak, nowella przez Ant. Józ. Sęka. Jan Zacharjasiewicz (sylwetka) przez Tadeusza Ujejskiego. Niedrukowany poemat filozoficzny Jul. Słowackiego p. t. Teogonia, przedstawił J. H. Rychter. Biedna staruszka, nowella przez Maurycego Jokaja. Echa. Przegląd literacki przez M. Przegląd teatralny: Sprawozdanie z „Dyonizy“ i „Męża z grzeczności“ przez Nemo, z „Friebego“ przez K. Drobne wiadomości literackie i artystyczne.